CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 15.IX.1967 Nr 17 (374) R. XXXIV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

50 LAT LITERATURY RADZIECKIEJ

ANKIETA „KAMENY" WŚRÓD PISARZY

W bieżącym roku mija 50-lecie zwycięstwa Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Złożona rzeczywistość historyczna, jaką fakt ten sumuje, posiada wielostronne znaczenie również dla naszego kraju i narodu. Z tej okazji redakcja „Kameny" ogłosiła wśród wybranego grona pisarzy polskich ankietę pod hasłem: 50 LAT LITERATURY RADZIECKIEJ.

Ankieta zawierała dwa pytania: Jakie zjawisko w literaturze radzieckiej wydaje mi się szczególnie wartościowym wkładem do kultury współczesnej i dlaczego? Czy określone zjawisko tej literatury odegrało jakąś szczególną rolę w moich poszukiwaniach ideowo-artystycznych oraz dlaczego? Przez termin „zjawisko" rozumieliśmy zarówno jeden utwór, kilka utworów w pewien sposób zbliżonych, dorobek pisarza, jak i określony nurt w literaturze radzieckiej. Pozostawiono do wyboru Respondentów możliwość odpowiedzi na jedno z tych pytań, na oba równocześnie lub na każde z osobna.

Ze względu na związki łączące naród polski z narodami ZSRR wydawało się rzeczą pożyteczną zaprezentować czytelnikom materiał dotyczący recepcji literatury radzieckiej w gronie tych, którzy są najbardziej bezpośrednio zaangażowani w tworzenie polskiej kultury.

Redakcja „Kameny" dziękuje Autorom wypowiedzi ankietowych. Materiały publikujemy w kolejności nadesłania.

Literatura i czytelnik

JAN KOPROWSKI

W KOŃCU maja br. uczestniczyłem, jako delegat Polski, w Zjeździe Pisarzy w Moskwie. Ponieważ kilka tygodni przedtem, w marcu, byłem również w kraju naszego wschodniego sąsiada, obydwa pobyty dały mi możność wejrzenia w problematykę literatury radzieckiej i nasunęły pewne uwagi, którymi chciałbym się podzielić. Zwłaszcza Zjazd Pisarzy, trwający tydzień, był okazją do głębszego, jak sądzę, wniknięcia w charakter i rodzaj przemian na obszarze literatury współczesnej. Wysłuchałem kilku referatów (o prozie, poezji, dramaturgii, literaturze dla dzieci i młodzieży, krytyce), wysłuchałem licznych wystąpień dyskusyjnych, w tym przedstawicieli literatur republikańskich, a w kuluarach wiele było sposobności do wymiany myśli i poglądów z pisarzami starszego i młodego pokolenia.

Inny jest pejzaż kraju, inny także — pejzaż jego literatury. Aleksy Surkow powiedział z trybuny zjazdowej: „Niech będzie strukturalizm, niech będzie surrealizm, niech będzie antypowieść, ale pomyślmy o tym, co jutro damy czytelnikom do czytania". Literatura w tym kraju była zawsze literaturą realistyczną. Literatura w tym kraju troszczyła się zawsze o to, aby znajdować wspólny język z odbiorcą. Literatura w tym kraju była i jest komunikatywna. Literatura w tym kraju, w stopniu silniejszym niż gdziekolwiek indziej, przywiązana jest do tradycji i dziedzictwa kulturalnego przeszłości. Jeśli o literaturze polskiej można powiedzieć, że cechowała ją zawsze ciekawość prądów i mód zagranicznych, to o literaturze rosyjskiej i radzieckiej przeciwnie: cudzoziemskim eksperymentom przypatrywała się ona uważnie i przyjmowała je niechętnie. Widać to szczególnie na terenie poezji. W ZSRR nie nastąpiło dotychczas tak znamienne dla całej bodaj Europy zerwanie z wypróbowanymi formami wersyfikacyjnymi. Poeci radzieccy z upodobaniem kultywują strofę i rym, dbają o rytmiczną i muzyczną stronę wiersza.

Ktoś powiedział, że poezja radziecka jest bardziej do mówienia, poezja nasza — bardziej do czytania. Jakież to trafne sformułowanie! Wszyscy poeci radzieccy mogą godzinami recytować swoje wiersze z pamięci. Pokażcie mi poetę polskiego, który to potrafi. Podobnie czytelnicy radzieccy. Gdy zbierze się jakieś grono towarzyskie w Moskwie, Leningradzie czy innym mieście, wcześniej lub później dojdzie na takim zebraniu do recytacji wierszy. Literatura rosyjska zawsze była bliska życiu, między pieśnią ludową a poezją nie było i nie ma tam takiegó rozdziału jak u nas. Kiedy biorę do ręki tomik współczesnego poety rosyjskiego (wszystko jedno: starego czy młodego), odnajduję w nim nie tylko formy klasyczne, lecz słyszę także melodie rosyjskich pieśni ludowych. Nie jest przypadkiem, że występy poetów gromadzą w tym kraju rzesze słu-

(Dokończenie na str. 5)

Przed stuleciem urodzin Marii Skłodowskiej-Curie

Człowiek bez mitów

NARCYZ ŁUBNICKI

GDY wielbimy jakąś wielkość w roku jubileuszowym, stawiamy ją na koturnach i zakuwamy w brąz. Wydaje się nam, że tworząc mit monolitu, budzimy tym większą cześć wśród społeczeństwa i uwielokrotniamy moc oddziaływania wysokiego ideału.

Złudzenie. Takie traktowanie prawdziwie wielkich ludzi: uczonych, artystów, reformatorów społecznych — oddala ich od nas, odbiera im człowieczeństwo, a nam — poczucie wspólnoty, ten łącznik duchowy, który sprawia, że chcemy dzielić z nimi tęsknoty i dążenia, wysiłki, upadki i triumfy.

Maria Skłodowska jest mi bliska dlatego, że nie rekonstruuję jej postaci na podstawie artykułów okolicznościowych czy fragmentów z historii fizyki, lecz staram się na podstawie pamiętników i korespondencji zrozumieć ją jako żywego człowieka, z początku naiwnego, później coraz głębiej wnikającego w skłębiony nurt życia, wreszcie — kształtującego w tragicznych zmaganiach wysokie wartości kultury.

Przypomnijmy sobie czteroletnią „Maniusię", która zalewa się łzami, bo nieświadomie skrzywdziła swoją starszą siostrę, Bronię, pokazując rodzicom, że znacznie lepiej od niej czyta. Przypomnijmy sobie, z jakim zapałem uczy się „zakazanych przedmiotów" na pensji w szlachetnym patriotyzmie córki ujarzmionego narodu.

Gdy nie mając jeszcze lat siedemnastu kończy gimnazjum ze złotym medalem umie już krytycznie myśleć, odrzuca tradycyjną pobożność umarłej matki i zbliża się duchowo do ojca-wolnomyśliciela. Uchodzi w kręgu znajomych za „rewolucjonistkę": nie aprobując terroru, dąży do wyzwolenia ludu z nędzy i zacofania przez podniesienie oświaty. Zarabia na życie korepetycjami, uczęszcza na tajny uniwersytet, a jednak znajduje czas i siły, by prowadzić wykłady oświatowe w warsztatach rzemieślniczych i organizować biblioteki ludowe. Z ówczesnego jej listu widać, że nie wierzy w magiczne działanie nowego ustroju społecznego na jednostkę: nie można spodziewać się, że świat stanie się lepszy, jeżeli nie staną się lepsi ludzie; trzeba wzbudzić w nich dążenie do doskonalenia się i stworzyć im do tego warunki.

Choć należy do koła pozytywistów, ma w sobie tyle indywidualnej mocy i taktu estetycznego, że nie przyjmuje wszystkich przekonań i zyczajów członków koła. Nie pali i nie używa gwary, jak tego wymaga ówczesna swoiście snobistyczna moda w kręgach pozytywistów; co więcej — nie wyrzeka się pewnych „romantycznych" czynników kultury humanistycznej potępianych przez gorliwych pozytywistów: pasjonuje się literaturą i sztuką i pisze wiersze. Za drwiny odpłaca się dowcipną ripostą: nazywa tamtych „idealnymi pozytywistami", a siebie „pozytywistyczną idealistką".

Ten „idealizm" ma widocznie wielką siłę moralną i społeczną, bo nakazuje Marii, w ciągu trzyletniej, często upokarzającej pracy w charakterze guwernantki na prowincji, uprawiać systematyczne tajne nauczanie wiejskich dzieci i poznawać arkana socjologii i historii ruchów społecznych. „Gdy już wyczerpana jestem tym całodziennym, a nieraz i nocnym wysiłkiem — przyznaje się rozbrajająco w jednym z listów — robię sobie całkiem odprężający odpoczynek: rozwiązuję zadania algebraiczne i trygonometryczne".

Ale pod naporem brutalnych sił głuchego prowincjonalnego życia załamuje się niekiedy młodzieńczy zapał „rewolucjonistki". Ogarniają ją myśli o beznadziejności sytuacji, o tragicznej dysproporcji między zamiarem a spełnieniem. Zjawiają się myśli samobójcze...

Przez wszystko przeszła młoda Maria; również przez pierwszą, zawiedzioną miłość... Ale wyszła z

(Dokończenie na str. 8)

Byłem „stonką"

RYSZARD KRAŚKO

W POLSCE występuje około sześciuset gatunków chrząszczy zaliczanych przez entomologów do rodziny stonkowatych. Przeciętny śmiertelnik nic albo prawie nic nie wiedząc o pięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu gatunkach zna tylko jedną stonkę — ziemniaczaną. Przybyła niedawno z Ameryki i szybko stała się postrachem plantatorów. Barwny żuczek o niewinnym wyglądzie jest dziś symbolem żarłoczności, nienasycenia.

W Augustowie mianem „stonki" określa się turystów i wczasowiczów. Czy przezwisko to stanowi odpowiednik góralskiego „cepra", czy też tkwi w nim silniejszy ładunek emocjonalny? A jeśli tak — to gdzie szukać genezy tego przezwiska: w wyjątkowej złośliwości mieszkańców Augustowa, czy w nienasyconości przybyszów?

Odpowiedź na te pytania próbowałem znaleźć w ciągu wielu sezonów turystycznych, gdy bawiłem w Augustowie jako „stonka", i podczas wielu wyjazdów w zimie i jesienią, gdy „turystyczna stolica Białostocczyzny" — jak nazywa się Augustów — przybiera swój zwykły wygląd.

* * *

Reprezentacyjny „Albatros" otwiera swe podwoje o dwunastej. I od razu napełnia się gwarem. Im niżej opada słońce, tym w „Albatrosie" pełniej. Początkowo klienci zmieniają się, lecz gdy słońce znika definitywnie za Neckiem — drzwi „Albatrosa" zamykają się i na drzwiach zjawia się tabliczka: „Miejsc nie ma". Odtąd niemal do świtu lokal okupuje dwustu szczęśliwców, którym udało się zaraz po otwarciu kupić karty wstępu na dancing. Co najmniej dwa razy tyle osób odchodzi od zamkniętych drzwi nie ukrywając zawodu i oburzenia.

Stali mieszkańcy Augustowa nie często bywają w restauracji.

— Narzuty, taksa klimatyczna, dziesięć procent za obsługę, piętnaście za rozrywkę... Kogo na to stać? Za obiad na trzy osoby trze-

(Dokończenie na str. 6)

Fot. A. Polakowski

Literatura

◆ 31 sierpnia zmarł po długotrwałej chorobie w 77 roku życia wybitny pisarz radziecki Ilja Erenburg.

◆ W związku z 50 rocznicą Rewolucji Październikowej PIW przygotowuje m. in. trzytomową antologię „Teatr radziecki" — wybór najcenniejszych pozycji dramaturgii radzieckiej, „Klęskę" Aleksandra Fadiejewa w wydaniu ozdobionym radzieckimi drzeworytami oraz „Dzieciństwo", „Wśród ludzi" i „Moje uniwersytety" Maksyma Gorkiego. W najmłodszej serii PIW „kieszonkowej" wyjdą: „Mickiewicz" Mieczysława Jastruna, „Grek szuka Greczynki" Friedricha Duerrenmatta i „Jesień średniowiecza" Johana Huizingi. Z polskiej literatury pięknej wyjdą m. in. „Dziecko przez ptaka przyniesione" — mikropowieść Andrzeja Kijowskiego, „Piastówny i żony Piastów" Jadwigi Zyliński ej, „Dni powszednie Warszawy w latach: 1880—1900" Karoliny Bevlin, z przekładów otrzymamy: „Gilgamesz" — starosumeryjski epos w pięknym, ozdobnym wydaniu, „Przy kawie i nargilach" — bajki z Tunisu, „Punkt zwrotny" Williama Faulknera, „Wzgórze" R. Rigby, antologię „Współczesnego dramatu amerykańskiego", „Teatr" — zbiór dramatów Eugène Ionesco.

◆ W Bibliotece Naukowej we Lwowie odnaleziono rękopis opowiadania Stefana Żeromskiego „O żołnierzu-tułaczu". Opowiadanie to Żeromski napisał w latach 1893—1896. Odnaleziony rękopis zawiera 42 strony. Brak w nim zakończenia.

◆ W Budapeszcie w wieku 79 lat zmarł Milan Füst, twórca czasopisma „Nyugat" („Zachód") — poeta, prozaik, dramaturg i filozof. Najgłośniejsza jego książka jest „Historia mojej żony".

◆ Czasopismo bułgarskie „Literaturen Front" zamieściło obszerny artykuł Władysława Ikonomowa, poświęcony twórczości Stanisława Lema. Recenzent bardzo wysoko ocenia twórczość polskiego autora, jego rozległą wiedzę, piękny język, wyobraźnię sięgającą w daleką przyszłość, a jednocześnie oparta na osiągnięciach naukowych. Niestety, stwierdza Ikonomow na zakończenie artykułu, dzieła tego filozofa i poety fantastyki są jeszcze niedostatecznie znane w Bułgarii. Dotychczas bowiem wydano tu tylko „Astronautów", „Obłok Magellana" i „Solaris".

◆ 75 cm długości, 65 cm szerokości, 210 kg wagi — oto dane największej książki na świecie. Jest nią tekst Apokalipsy św. Jana wydany przez francuskiego wydawcę dzieł sztuki Josepha Foreta kosztem jednego miliona dolarów. Opracowanie tej książki-giganta trwało trzy lata (1959—1963). Obecnie wędruje ona po wystawach w różnych krajach. Tekst jest pisany ręcznie na 150 kartach pergaminowych w siedmiu językach: po francusku, łacinie, grecku, angielsku, rosyjsku, niemiecku i hiszpańsku. Dzieło to ilustrowali wybitni artyści — Bernard Buffet, Salvador Dali, Leonor Fini, Ossip Zadkine, Georges Mathieu.

◆ Płodny pisarz angielski John Osborne kończy pisać aż dwie sztuki równocześnie: „Hotel w Amsterdamie" i „Czas teraźniejszy", obie o charakterze częściowo autobiograficznym.

◆ W Nicei otwarto testament pisarki Thyde Monnier, która zmarła w styczniu. Ustanowiła ona oryginalną nagrodę: pisarz w wieku 30—70 lat, kawaler i nie hodujący zwierząt domowych, może bezpłatnie mieszkać w jej willi 11 miesięcy.

Sztuka

◆ Z okazji tradycyjnych Dni Kultury Rumuńskiej otwarto w warszawskich Łazienkach wystawę grafiki i fotografiki rumuńskiej, a w innym miejscu wystawę rysunków dzieci rumuńskich.

◆ W Montrealu odbyła się międzynarodowa wystawa karykatur — 289 rysunków z 54 krajów. Pierwszą nagrodę otrzymał Jugosłowianin Dragolub Anjelkovic. Rysunek (bez podpisu) przedstawiał czoło omijający samotną różę.

◆ W Belgii i Holandii będą wystawiane jesienią prace Nikifora Krynickiego. W tym samym czasie w Algierze wystawa polska pokaże 90 dzieł 30 naszych plastyków.

◆ W Darmstadt w NRF otwarto drugą wystawę pod nazwą „Międzynarodówka rysunków". Wśród 700 dzieł 118 najwybitniejszych artystów świata 21 prac 5 polskich artystów: T. Brzozowskiego, S. Gierowskiego, T. Kaniora, J. Lebensteina i Z. Makowskiego.

◆ W nowym centrum Chicago odsłonięto olbrzymią rzeźbę, wykonaną ze stali według makiety, przysłanej przez Picassa. Waży ona 160 ton, ma 15 m wysokości, trudno powiedzieć, co przedstawia.

◆ W wieku 69 lat zmarł w Brukseli Rene Magritte, najgłośniejszy malarz surrealistyczny w Belgii. Rozpoczął jako malarz tapet. Jest autorem fresku długości 72 m w kasynie w Konkke-le-Zoute.

Dotychczas było tak: jeżeli fotografia Brigitte Bardot, to aktorka musiała być bardzo skąpo ubrana. Tym razem więc inaczej — BB razem z synem Mikołajem na wakacjach. 6-letni syn Brygitki i Jakuba Charrier właśnie zaczął chodzić do szkoły.

Teatr

◆ Warszawski Teatr Narodowy przygotowuje inscenizację „Dziadów" Mickiewicza w układzie tekstu i reżyserii K. Dejmka. Gustawa-Konrada zagra Gustaw Holoubek, Hrabinę — Irena Eichlerówna. Pierwszą premierą Teatru Powszechnego będzie „Fantazy" Słowackiego, a Teatru Klasycznego „Horsztyński" także Słowackiego. W Teatrze Polskim Kreczmar kończy próby „Pana Jowialskiego" Fredry.

◆ Krymski dramaturg Jurij Kaługin, w oparciu o swą własną powieść biograficzną „Żył wśród nas", napisał wspólnie z Aleksandrem Blinowem sztukę pt. „Pod jednym płaszczem", poświęconą życiu i twórczości Adama Mickiewicza w Rosji w latach 1824—1829. Utwór nawiązuje tytułem do fragmentu wiersza, poświęconego przyjaźni z Aleksandrem Puszkinem. Sztuką zainteresowały się m. in. teatry w Moskwie, Odessie, Charkowie, Tallinie.

◆ Rosja carska miała zaledwie 177 teatrów. W Kirgizji, Tadżykistanie, Armenii i Turkmenii teatry w ogóle nie istniały. Obecnie w ZSRR czynnych jest 500 teatrów. Teatry operowe istnieją we wszystkich stolicach republik związkowych, w szeregu stolic republik autonomicznych i w wielu większych miastach. Pracuje też 130 teatrów dla dzieci. Roczna frekwencja na przedstawieniach i koncertach wynosi przeszło 220 mln osób.

◆ W Amsterdamie wystawiona została komedia G. B. Shawa „Androkles i lew" w reżyserii Erwina Axera i scenografii Ewy Starowieyskiej. Dyrektor Wrocławskiej Pantomimy Henryk Tomaszewski wygłosił cykl odczytów w Norwegii, a kierownik artystyczny Teatru Laboratorjum Jerzy Grotowski poprowadził w Sztokholmie kursy dla szwedzkich artystów.

◆ Jeden z nowojorskich teatrów na Broadwayu zamierza wystawić w nowym sezonie teatralnym musical, którego treścią będą dzieje znanej kobiety-szpiega Maty Hari. W roli głównej wystąpi aktorka włoska Marisa Mell.

◆ Aktualna sytuacja teatrów brytyjskich budzi głęboki niepokój w tamtejszych kołach intelektualnych, co znajduje m. in. wyraz w licznych głosach prasy na temat grożących angielskiej scenie niebezpieczeństw. Odpowiedzialni kierownicy teatrów — pisze Harold Hobson, krytyk teatralny znanego dziennika brytyjskiego „Guardian" — uważają, że teatry nie będą mogły się utrzymać, jeśli trwać będzie obecny stan rzeczy. 17 programów teatralnych w Londynie idzie dziś z deficytem. Komedia muzyczna, która cieszy się znacznym powodzeniem, przynosi straty tygodniowe w wysokości 5 tys. funtów. Kilka teatrów jest w ogóle nieczynnych i mówi się o tym, że niektóre z czynnych jeszcze teatrów będą musiały zamknąć swe podwoje. Nawet wielka liczba przedstawień nie jest bynajmniej gwarancją powodzenia. Niedawno pewna sztuka, która osiągnęła liczbę 500 przedstawień, przyniosła ok. 20 tys. funtów deficytu. Spośród teatrów, które były czynne 20 lat temu, tylko 8 utrzymały się do dziś. Kilku producentów teatralnych myśli o produkcji filmowej.

◆ Po 20 latach występów w filmie główna aktorka szwedzka Ingrid Bergman wraca na scenę teatru. Wystąpi w Los Angeles w sztuce Eugeniusza O'Neilla „Jeszcze wspanialsze pałace".

Muzyka

◆ XI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień" odbędzie się w dniach 16—24 września. Tegoroczny festiwal, tak jak poprzednie, pomyślany jest jako forum, na którym przedstawione zostaną kompozycje reprezentatywne dla różnych kierunków współczesnej muzyki. W programach 16 koncertów i 2 spektakli operowych znajdą się ogółem 83 utwory, w tym 21 polskich.

◆ Nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego ukazała się pierwsza w Polsce praca poświęcona Witoldowi Lutosławskiemu. Szkic biograficzny opracował Stefan Jarociński, który zestawił też materiały do monografii. Książka składa się z wypowiedzi Lutosławskiego na łamach czasopism krajowych i zagranicznych, wykładów, m. in. w Królewskiej Akademii Muzycznej w Sztokholmie, oraz wywiadów udzielonych przez autora „Gier weneckich". Warto dodać, że nakładem PWM wyjdą słynne „Listy Chopina", które wywołały tyle dyskusji w prasie.

◆ Grecki kompozytor Teodorakis, aresztowany niedawno w Atenach (autor muzyki w filmie „Grek Zorba") przesłał angielskim Beatlesom piosenkę „Słońce", której treść przedstawia walkę ludu greckiego z reżimem wojskowym.

◆ Tino Rossi w ciągu ostatnich tygodni przeleciał samolotem w Afryce z koncertu na koncert ok. 50 tys. km. Dochód z pierwszego po powrocie koncertu w Ajaccio (urodził się na Korsyce) przeznaczył na dotację dla miejscowego klubu piłkarskiego.

◆ W norweskiej miejscowości Molde zakończył się międzynarodowy festiwal jazzowy, w którym uczestniczył polski zespół pod kierunkiem Zbigniewa Namysłowskiego. Szczególne uznanie publiczności i krytyki wzbudziły kompozycje oparte na polskich motywach ludowych. W dzienniku „Dagbladet" ukazał się ponadto wywiad z prezesem Polskiej Federacji Jazzowej — Janem Byrzykiem.

◆ W nigeryjskim mieście Oshogbo żyje i tworzy oryginalny kompozytor - samouk afrykański — Duro Ladipo. Z zawodu nauczyciel szkoły podstawowej, komponuje również muzykę kościelną. Skandal wywołało jego wielkie oratorium wielkanocne, w którym wprowadził bębny afrykańskie do kościoła. Władze kościelne wygnały go z gminy wiernych. W prasie rozgorzała dyskusja. W rezultacie Duro został przywrócony na łono kościoła, a miejscowy biskup zlecił mu napisanie kantaty z bębnami.

◆ Znany pisarz i dziennikarz amerykański A. E. Hotchner, autor wspomnień i sztuki o Hemingway'u, pracuje nad librettem do komedii muzycznej znanego kompozytora amerykańskiego Richarda Rodgersa. Temat libretta został zaczerpnięty z życia Nefretete, żony faraona Echnatona (XIV wiek przed naszą erą).

◆ Opera paryska postanowiła uczcić 100 rocznicę śmierci Charles Baudelaire'a wystawieniem baletu w oparciu o jego wiersze. Autorem układu tanecznego jest znany choreograf Roland Petit, muzykę komponuje Georges Auric. Balet zostanie wystawiony w kwietniu przyszłego roku z Zizi Jeanmaire w roli głównej.

Telewizja

◆ Premierą komedii Ignacego Krasickiego „Pleniacz" Teatr Telewizji rozpoczął nowy sezon. Ponadto od października raz w miesiącu będą pokazywane spektakle, przygotowane przez telewizje innych krajów — oczywiście z dubbingowanym tekstem.

◆ Telewizja jugosłowiańska nadała w swym programie sztukę Sławomira Mrożka „Policjanci". Utwór reżyserował Zdrawko Szotra. „Policjantów" miała okazję poznać wcześniej już publiczność teatralna. Przez wiele lat bowiem utwór ten znajdował się w repertuarze teatrów w Belgradzie i innych miast jugosłowiańskich.

◆ Telewizja włoska przygotowuje cykl filmowy oparty na jednej z najbardziej popularnych we Włoszech powieści Henryka Sienkiewicza „Quo vadis?". Wersja telewizyjna składać się będzie z 20 półgodzinnych odcinków.

◆ Telewizja japońska nadała ostatnio w swym pierwszym programie polski film telewizyjny „Mistrz" w reżyserii Jerzego Antczaka, wg scenariusza Zdzisława Skowrońskiego. Była to już druga emisja tego filmu w japońskiej TV.

◆ W dwudziestu sześciu 50-minutowych odcinkach nadała stacja telewizyjna BBC słynne dzieło Galsworthy'ego „Sagę Forsytów". W realizacji tego cyklu wzięło udział 120 aktorów. W Wielkiej Brytanii seria cieszyła się ogromnym powodzeniem. Zakupiły ją telewizje krajów skandynawskich, Belgii, Holandii, Australii i... Zambii. W ZSRR seria ta należała do najpopularniejszych wśród zagranicznych programów.

Różne

◆ W ramach tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy zorganizowano 5074 kiermasze, 2458 imprez masowych, 15 tys. spotkań z pisarzami, twórcami oraz działaczami kultury, 7680 odczytów i prelekcji, 9 tys. różnego rodzaju wystaw oraz ponad 6 tys. koncertów, wieczorów literackich itp. Ze sprzedaży książek i reprodukcji malarstwa uzyskano na kiermaszach prawie 15 mln zł, tj. o 3 mln więcej niż w 1966 r. Sieć placówek kulturalno - oświatowych wzbogaciła się w czasie „Dni" o 546 nowych obiektów.

◆ Z 4 tonami bagażu zespół „Mazowsze" wyjechał do Australii, gdzie ma dać 115 koncertów. W drodze powrotnej, pod koniec roku, przewidziano także występy w Kairze.

◆ 30 września zostanie odsłonięty w Poznaniu pomnik T. Kościuszki — zrekonstruowany według wzoru przedwojennego. Buduje się też pomnik księcia Przemysława I według projektu rzeźbiarza J. Kopczyńskiego.

◆ We Włocławku przeznaczono dwie barokowe kamieniczki na Starym Rynku na siedzibę Muzeum Archeologiczno - Historycznego. W 18 salach znajdują się ekspozycje ciekawych zbiorów, w których wiele okazów ma unikalny charakter. Szczególnie bogate są znaleziska archeologiczne dokonane na Kujawach, będących — w opinii uczonych — prawdziwym „zagłębiem" dawnych kultur.

◆ Podczas przeglądu archiwum Państwowej Biblioteki Białoruskiej SRR w Mińsku znaleziono druki dotyczące działalności Konstantego Kalinowskiego w czasie powstania styczniowego. Ten bojownik o „naszą i waszą wolność", jeden z przywódców powstania na Litwie i Białorusi, radykalny działacz polityczny, był redaktorem pisma powstańczego dla chłopów „Mużyckaja Pauda".

◆ W wieku 74 lat zmarła we Francji Jacqueline Apollinaire — wdowa po wybitnym poecie polskiego pochodzenia Guillaume (Wilhelm Apolinary Kostrowicki).

◆ W Atlantic - City niejaki James V. Lafferty wybudował sobie dom mieszkalny w kształcie — olbrzymiego słonia. Schody znajdują się w trąbie, łazienka w okolicach ogona.

Film

◆ W okresie powojennym nasze wytwórnie wyprodukowały 230 krótkometrażówek poświęconych sztuce. W liczbie tej znajdują się również pozycje krajoznawcze i historyczne zawierające elementy sztuki. Z filmów tych ogromna większość, bo ok. 150, dotyczy architektury i sztuk plastycznych, a więc malarstwa, rzeźby, grafiki, plastyki ludowej; reszta — ok. 80 tytułów — tematyki teatralnej, muzycznej i innych dziedzin. Powstał też (niestety, tylko jeden), film fabularny „Mansarda" Konrada Nałęckiego, będący biografią Aleksandra Gierymskiego.

◆ Na II międzynarodowym festiwalu filmów wojskowych w Odessie polski film „Zasady zachowania się żołnierza na polu walki" reż. J. Stefanowskiego z wytwórni „Czołówka" otrzymał nagrodę „Złotej Gwiazdy" w kategorii wojskowych filmów instruktażowych.

◆ Reżyser węgierski Istvan Gaal (jego film „Wir" oglądaliśmy niedawno na naszych ekranach) zaangażował troje polskich aktorów do swego nowego filmu pt. „Chrzciny". Są to Tatjana Czechowska, Janusz Strachocki i Ewa Szykulska. Akcja filmu rozgrywa się współcześnie na węgierskiej wsi. Do młodej Polki, która wyszła za mąż za Węgra, przyjeżdżają w odwiedziny rodzice z Polski.

Aktorka węgierska, Hedi Váradi, jako Ewa w sztuce Madacha „Tragedia człowieka" podczas występów w Warszawie.

Notes „Kameny"

TAJNY PLAN C

JÓZEF BARECKI

KIEDY na początku lipca br. eksplodowała w Bonn sprawa Bundeswehry, niewiele osób wiedziało, że oto rozpoczęło się jeszcze jedno zachodnioniemieckie przedstawienie. Początek sztuki mógł wprowadzić w błąd najlepszych nawet znawców przedmiotu. Pierwsza odsłona zaczęła się zgoła sensacyjnie, a na scenie pojawili się główni aktorzy.

Po dwudniowej debacie rząd boński postanowił zredukować wydatki na cele wojskowe, by w ten sposób dokonać pewnych oszczędności w budżecie państwa. Trudności gospodarki zachodnioniemieckiej znane były od dawna, ale nikt nie przypuszczał, że rząd ośmieli się zaproponować oszczędności w dziedzinie uważanej dotąd za największe tabu Republiki Federalnej. Zaskoczenie było ogromne. Pogłębiło je wystąpienie ministra obrony NRF Schroedera, który publicznie zaprotestował przeciwko decyzji rządu stwierdzając, że w jej wyniku zmniejszy się liczebność Bundeswehry i osłabi bezpieczeństwo kraju. Odsłona pierwsza zakończyła się występem kanclerza Kiesingera. Naoczni świadkowie zeznali, że słychać było zgrzytanie kanclerskich zębów, kiedy na posiedzeniu gabinetu omawiano niesubordynację ministra Schroedera.

Po świecie rozeszły się wieści o poważnych rozbieżnościach w ekipie rządowej NRF, w samych zaś Niemczech zachodnich rozgorzała kłótnia na temat losów Bundeswehry. Politycy zaczęli sobie skakać do oczu, spośród znawców problemu, polityków związanych z kołami wojskowymi i wyższych oficerów poczęły tworzyć się grupy, propagujące określone kierunki ratowania zagrożonej rzekomo Bundeswehry. Skrzyknęli się więc „atlantydzi", „narodowi europejczycy", spece opozycyjnej FDP i specjaliści wojskowi SPD. Powstał nieopisany harmider, wszyscy walczyli ze wszystkimi. Najśmieszniejsze było jednak to, że o chęć osłabienia Bundeswehry posadzony został jej główny twórca, były minister obrony, a aktualnie minister finansów, Joseph Strauss.

Do ratowania Bundeswehry stanęli jak jeden mąż wszyscy generałowie hitlerowscy, którzy zrobili karierę w NATO. Graf Kielmansegg, dowódca sił NATO w Europie środkowej i gen Baudissin, zastępca szefa sztabu europejskiego dowództwa NATO stanowczo sprzeciwili się jakimkolwiek próbom redukcji w Bundeswehrze.

Wydawało się jednak, że lipcowe postanowienia rządu będą musiały w jakimś stopniu dotknąć to ukochane dziecko bońskich militarystów. Ocena sytuacji gospodarczej w NRF nie była pocieszająca, jakieś cięcia budżetowe były konieczne. Znaleźli się więc i tacy, którzy pogodzili się z tą ponurą perspektywą. Trzeba szczerze przyznać, że nie było ich wielu, można by ich policzyć na palcach jednej ręki. Ale i oni nie chcieli sprzedać się tanio. Komentator wojskowy znanego dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung" — Weinstein zaproponował, że jeśli już trzeba dokonać pewnych redukcji w Bundeswehrze, to koniecznie trzeba ogłosić, iż jest to zachodnioniemiecki wkład w odprężenie.

Na szczęście, obyło się bez tej ofiary. Republika Federalna nie splamiła się nawet myślą o odprężeniu. Wielka burza, jaka wstrząsnęła rządem zachodnioniemieckim i do głębi poruszyła wszystkie partie, okazała się wielkim bluffem.

Nastąpił akt drugi przedstawienia. W sierpniu kanclerz Kiesinger złożył wizytę prezydentowi USA. Niektóre dzienniki ujawniły, że obaj mężowie stanu wygrażali sobie wzajemnie armiami. Ale wygrażali nie zwiększeniem stanu wojsk, jak to zwykle bywa w sporze między państwami, ale ich zmniejszeniem. Kiesinger wygrał tę potyczkę, jego groźba odniosła natychmiastowy skutek. Johnson potwierdził wszystkie pretensje Bonn: do atomowego uzbrojenia Bundeswehry, do zjednoczenia Niemiec na zasadach bońskich, do rewizji polskich granic zachodnich. Za to Kiesinger przyrzekł swemu rozmówcy, że zbrojeniowe wysiłki Niemiec zachodnich nie ulegną żadnym ograniczeniom, przy czym Niemcy zachodnie gotowe są dopomóc Stanom Zjednoczonym w dźwiganiu odpowiedzialności za świat.

Rozpoczęta w lipcu gra stała się jasna, kiedy niedawno, już po przyjeździe Kiesingera z Waszyngtonu, ujawniono w Bonn szczegóły pewnego tajnego zebrania.

To był właściwie akt drugi przedstawienia, wizyta w Waszyngtonie była już tylko epilogiem sprytnie zaaranżowanego widowiska. Otóż w przededniu wyjazdu delegacji bońskiej do USA odbyła się w Bonn narada, na której spotkali się w najlepszej komitywie niedawni przeciwnicy: Kiesinger, Strauss, Schroeder i kilku generałów. Głównym tematem rozmów była sprawa Bundeswehry. Narada trwała kilka dni. Jej uczestnicy przyjęli jednogłośnie projekt, który prasa zachodnioniemiecka nazwała „tajnym planem C". Przewiduje on podwyższenie zdolności bojowej Bundeswehry, modernizację i zwiększenie ilości środków przenoszenia broni jądrowej oraz zwiększenie ruchliwości i siły ognia armii. Plan nie postuluje żadnej redukcji liczebności Bundeswehry, zakłada natomiast podwyższenie wydatków na zbrojenia. Ciekawe są i niezwykle charakterystyczne szczegóły planu. Przewiduje on wyposażenie Bundeswehry w najbardziej nowoczesne rodzaje broni, zwłaszcza w rakiety o większym niż dotąd zasięgu. Utworzone zostaną nowe związki bojowe, zwiększy się poważnie rezerwa Bundeswehry, zdolna do natychmiastowego działania na froncie.

Te postanowienia nabierają specjalnej wymowy w zestawieniu ze zmianami organizacyjnymi. Plan przewiduje utworzenie nowych sztabów armii oraz usamodzielnienie kilku dowództw okręgów wojskowych. Chodzi w tym wypadku o to, aby Bundeswehra mogła samodzielnie rozwijać działania wojenne z pominięciem, gdy zajdzie tego konieczność, dowództwa NATO.

I na tym można by skończyć historię wielkiej dyskusji, jaka w ciągu lipca i sierpnia ogarnęła całe Niemcy zachodnie. Historia to pouczająca. Trudno o lepszy przykład bezbłędnego rozegrania partii przez zachodnioniemieckich militarystów.

Być może nie wszystko byłoby jasne bez przypomnienia jeszcze jednego szczegółu. Partia rozegrana została po izraelskiej agresji na Bliskim Wschodzie. Rząd zachodnioniemiecki i dowództwo Bundeswehry bardzo szybko wyciągnęli odpowiednie dla swej polityki wnioski z izraelskiego „Bliet-kriegu". Bankructwo paktu północnoatlantyckiego postawiło pod znakiem zapytania rolę Bundeswehry. Izrael dostarczył argumentów zwolennikom tezy o konieczności zapewnienia Bundeswehrze zdolności do samodzielnych działań. Historia z rzekomą redukcją oszczędnościową potrzebna była rządowi bońskiemu dla stworzenia atmosfery sprzyjającej nie redukcji i osłabieniu Bundeswehry, lecz jej rozwojowi i wzmocnieniu. Potrzebna była jednocześnie dla zaszachowania Stanów Zjednoczonych, które potrzebując własnych wojsk do walki w Wietnamie — musiały stać się bardziej uległe wobec żądań bońskich.

„Tajny plan C" uwieńczył tę koronkową robotę zachodnioniemieckich polityków. Bundeswehra zostanie jeszcze bardziej wzmocniona. Uzyska jeszcze większą samodzielność. Nie należy wątpić, że polityka wschodnia rządu bońskiego, ta prawdziwa polityka wschodnia, zmierzająca do likwidacji NRD i zmiany granicy na Odrze i Nysie, również ulegnie aktywizacji.

Kupią nie kupią, pomarzyć wolno

MACIEJ PODGÓRSKI

DWA razy w roku, z początku i na końcu „sezonu ogórkowego", wybucha bomba publicystyczna nad głowami „naszej młodzieży" — gdy latorośl (z cenzusem maturalnym) usiłuje dostać się na studia oraz gdy latorośl (bez cenzusu maturalnego) rozpoczyna zajęcia w szkołach. W pierwszym przypadku mówi się wiele o zasadach selekcji, punktach, nie obsadzonych wydziałach, a także... rozdziela się winy między szkołę a uczelnię za solidny „odsiew" kandydatów do studenckich nauk. W drugim wypadku pojawiają się ciepłe życzenia, zdjęcia małego człowieczka z wielkim tornistrem oraz piękne hasła: „Witaj szkoło!" I publicyści mają te kwestie „z głowy"... aż do przyszłego „sezonu", kiedy latorośl (z cenzusem maturalnym) będzie usiłowała dostać się na studia oraz gdy latorośl (bez cenzusu maturalnego) itd.

Nie potrafię rozdzielać win, składać życzeń i robić zdjęć. Nie nadążam za doraźnymi sporami i wiwatami. Jestem nieczuły na doroczne lamenty mamuś i cioć. Więc teraz, z racji 1 września, zostaje mi tylko nieco pomarzyć — w zasadzie o przyszłości. O szkolnym nauczaniu tego, co sercu memu nieobojętne — literatury. Przede wszystkim w szkole ogólnokształcącej, bo tam język polski wiedzie zdecydowany prym, no i głównie w klasach starszych, gdzie wykłada się ludziom względnie dorosłym.

Reorganizacja szkolnictwa przyniosła m. in. *„Program nauczania liceum ogólnokształcącego klasy I—IV (tymczasowy)", Warszawa 1966 r.* W roku 1967/68 obejmie on I klasę liceum (pierwszy rocznik po 8-letniej szkole podstawowej), a więc do klas starszych dotrą ci młodzi ludzie, wraz z nowym programem, w latach 1969/70—1970/71.

Wstęp do owego programu stanowi pożywkę dla najśmielszych moich marzeń. Okazało się, że nareszcie chcemy mieć szkołę pod każdym względem nowoczesną.

Jak to wygląda w zakresie języka polskiego? Zwiększono znacznie wymiar godzin poświęconych problemom literatury XX wieku. We wszystkich klasach obowiązuje stały dział: *„współczesne życie literackie i kulturalne"*. Wprowadzono w klasie IV — jako novum — zajęcia fakultatywne (m. in. właśnie z języka polskiego), których celem jest *„pogłębienie i poszerzenie wiadomości zdobytych przez uczniów w przedmiotach wybranego kierunku, wyrobienie umiejętności wiązania i scalania wiedzy z różnych przedmiotów, wdrażanie do samodzielnej pracy jako podstawowej metody w studiach pomaturalnych"*. (wstęp, s. 8). *„W języku polskim analizę dzieła literackiego ujęto zgodnie z nowoczesną metodologią literaturoznawstwa"*. (s. 7).

Wszystko pięknie. Jest bowiem miejsce należne współczesności. Istnieje możność kierunkowego przygotowania do studiów. O tym właśnie marzyłem. Ale marzenia, tak autorytatywnie podbudowane, nie zawsze pasują do konkretów nowego programu.

Historię naszej literatury zarysowuje ów program jako dzieje postępowych idei *„narodowo-społecznych"*, zaklętych w artystyczną *„formę"*. Nie zamierzam kwestionować tego wyboru, bo chodzi tu o najbardziej rudymentarne wartości wychowawcze, realizowane za pomocą lektur. Lecz pisarz to nie tylko wyniosły i nieskazitelny wieszcz, budujący pomnik „narodowo-społecznych" idei, to także zwykły człowiek, dokumentujący literacko złożone sprawy jednostki. *„W najbardziej obiektywnej powieści, o ile jest dziełem pięknym, dziełem wielkim, zawsze kryje się dramat przeżyty przez pisarza, walka jednostki z własnymi demonami i sfinksami"* — powiada François Mauriac. Trzeba więc troszkę odbrązowić pisarzy. Oczywiście nie w ten sposób, jak czyni to bohater „Robaków" Nowakowskiego: *„był taki Verlaine, mówiłem, pijak i pedał, wielki poeta, a jeszcze dawniej był taki Villon, złodziej i alfons, cudowne wiersze, i tak gadałem z lubością, budując dom literatury, obłąkany, zgniły, zboczony"*. Nie tak! Ale warto pamiętać, że literatura to również dzieje ludzkiego serca, jego odwiecznych sprzeczności i wątpliwości, że artysta pokazuje także problemy, których — jak powiada Wilhelmi — *„nie mogą i nawet nie usiłują rozwiązać żadne ideologie społeczne"*. Warto w końcu pamiętać, że istnieje cały zespół trudnych spraw ludzkich grupujących się wokół osi: jednostka — historia, natura — kultura.

Zamarzyło mi się więc uwzględnienie tej problematyki w liceum — chyba konieczne i szersze niż w programie (dobór autorów chętnie przedyskutuję), jeśli zapowiadana dla klasy IV *„informacja o egzystencjalizmie i jego ocena z pozycji marksizmu"* ma rzeczywiście trafić do uczniów. Skoro chcemy wychować socjalistycznego, zatem w pełni świadomego, człowieka, powinniśmy mu otworzyć oczy na wszystkie przypadłości ludzkiego losu, i dopiero na tym tle ukazać możliwość i sens rozumnych wysiłków w budowaniu życia jednostki i społeczeństwa. W przeciwnym wypadku między realnym „życiem współczesnym" a szkołą otwiera się rozziew, który burzy autorytet szkoły lub prowadzi do „upupienia" młodych.

A teraz trochę o *„nowoczesnej metodologii literaturoznawstwa"*. W szczegółowym programie języka polskiego (wydanym także w roku 1966) widnieje następujący passus: *„Nauczyciel powinien doprowadzić do tego, aby uczniowie dostrzegali w dziele sztuki nie szereg odrębnych części, lecz całość, której elementy pozostają w stosunku wzajemnej zależności"*. (s. 44). Znów pożywka dla moich marzeń — o wprowadzeniu do szkoły zasad analizy strukturalnej faktu literackiego, która nie jest bynajmniej sprzeczna z założeniami marksizmu, jak o tym świadczą, również na gruncie polskim, wypadki łączenia postawy „strukturalistycznej" z marksistowskim pojmowaniem procesu historycznoliterackiego. Tylko znów te konkrety programu!

Wartościowe dzieło literackie stanowi dynamiczną jedność różnorakich „elementów" wewnętrznie powiązanych i zhierarchizowanych. Analiza wydobywa te „elementy", by je następnie złożyć, pokazując ich wzajemną funkcjonalność (tu możliwe jest wartościowanie estetyczne, o czym też trzeba pamiętać, ucząc — jak by powiedział Bereza — *„sztuki czytania"*). Następnie musimy przedstawić szersze systemy, w których obrębie utwór literacki istnieje i które go częściowo determinują. Ale płaszczyzna jedności systemu, jakim jest dzieło, stanowi zasadniczą podstawę dalszych nauk. Toteż martwią zjawiające się tu i tam w szczegółowym programie widma dualistycznego podziału na *„treść" i „formę"* (s. 16, 27). Podział ów, wywodzący się jeszcze z tradycji Chrzanowskiego, jest w świetle osiągnięć współczesnej nauki o literaturze bzdurą na kaczych nogach. Więc marzę o tym, aby zniknął raz na zawsze ze szkoły.

Następna sprawa — ujmowanie bohatera literackiego sugerowane na każdym kroku przez szczegółowy program. W przesadnej dbałości o szlachetne wzorce osobowe izoluje się postać literacką z kontekstu utworu, traktując ją jako pełne indywiduum psychofizyczne, by następnie bawić się w oceny jej „postępków" z perspektywy realnego życia. Marzę dalej — nauczyciel nie będzie zapominał, że bohater jest tylko jednym ze znaków w systemie dzieła, a więc, że wartościowaniu etycznemu i filozoficznemu podlega nie tyle pojedyncza postać literacka, ile przede wszystkim ostateczne, całościowe znaczenie utworu — problematyka ideowa, na którą „pracują", poza bohaterem, także inne znaki utworu. Trzeba też pamiętać, że także narrator jest postacią literacką, toteż jego partie rzadko wolno nazywać *„częściami odautorskimi"* (s. 16). Znam jeden wypadek, kiedy narratora od biedy można utożsamić z autorem — „Medaliony". Ale już u Tadeusza Borowskiego, mimo że opowiada niejaki Tadek, byłoby to zabiegiem horrendalnym.

Nigdy nie marzę o rzeczach oczywistych, np. o tym, iż w zależności od poziomu klasy trzeba pewne sprawy umiejętnie rozkładać między godziny obowiązkowe a zajęcia fakultatywne, a także zagadnienia stosownie interpretować, aby trafiły do umysłowości ucznia. Mam jedną pewność — jeśli szkoła licealna nie przyswoi sobie rudymentów współczesnej wiedzy o literaturze i człowieku, wychowywać będzie ludzi nie przygotowanych do odbioru i właściwego rozumienia współczesnej sztuki, a więc nie przygotowanych do zrozumienia samych siebie i swojego czasu. (O perspektywie studiów humanistycznych już nawet nie wspominam). Bałbym się marzyć o społecznych konsekwencjach tych faktów.

W tej sytuacji szczególnej wagi nabiera sformułowanie z cytowanego już wstępu: *„Niezbędnym elementem nowoczesności i skuteczności pracy dydaktyczno-wychowawczej jest doskonalenie i uzupełnianie wiedzy nauczyciela, nadążanie za szybkim rozwojem dyscyplin naukowych, odpowiadających przedmiotom nauczania oraz za rozwojem nauk pedagogicznych"*. (s. 10).

Może nauczyciele-poloniści będą mieli czas na to, a wolno mi marzyć, iż będzie to dla nich obowiązkiem.

STEFAN WOLSKI

Opowieść

Poznałem ją zstępującą z posągu na ziemię,
za nią strop wysokości opadał,
i widziałem wzdłuż ciszy ruch serca
w zębatym kole milczenia.
To chyba wiara znosiła ciemności,
zzuwała ochoczo przestrzenie,
gdy w tę odległość wsłuchana,
w ciemne prawo wulkanów,
jeszcze podniosła nadzieję
u krańca westchnienia.

Lecz oto stanęła naprzeciw,
bo ręka niebo otwiera...
A ja wiem jej wiedzą raptownie wzniesioną
dobrze wiem,
że stamtąd ktoś sygnał zapalił.
I nawet dżungla zadrżała.
Potem wyraźnie o wolność wołano
i jęk się w wioskach zataczał.
Stąd to jej usta już krzyczą,
choć kamień łez krzyk wstrzymuje.

I ona zaraz na progu wybuchu
błysk piersią od dzieci odpycha.
I widzę ten moment najkrótszy
pomiędzy bólem
a wielkim zdumieniem
szeroko, dziecinnie
rozwartym...
i kleks rubinowy w zeszycie.

Więc to jest Matka,
to Niobe, która biegnie.
Słyszę:
kamienie płaczą pod rozdartą stopą,
widzę krew cwałującą przez skronie,
a gdy — smutniejsza niż siostra z Korei —
pochyli się nad tym zdumieniem,
wtedy żył Hiroszymy dotknęła,
gdzie puls jest płaskim reliefem na murze,
pół krzykiem, pół ruchem, pół trwaniem.

O, Niobe...
ktoś biegnie naprzeciw,
groźnie odpiąwszy błysk czasu,
usta wołaniem napełnia
i wicher wstrzymuje w twych włosach...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Kobieto ciemnolica,
skośnooka, niejednojęzyczna,
zmartwychwstała, bolesna Niobe...
Tobie dziś w mitach nie wymoszczą łoża
z monetą srebrną na oczach,
ze złotym kneblem w głąb krzyku,

Już nie przybiją cię do nowych legend
gwoździem łaski,
na krzyżu współczucia,
nawet w orędziech
i modłach.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Gorzka jest słodycz narodzin
i krwawy trud przełamania.
Matko,
wszystko mogąca Potęgo...
Ziemio bogata i cicha,
Kraino wciąż nie odkryta,
z kości i krwi tego czasu,

Biuletyn czy trybuna?

WALDEMAR OSTROWSKI

POGLĄD Wojciecha Jankowernego, („Kamena", nr 9), że czasopisma zakładowe „spełniają rolę wszechstronnych informatorów i popularyzatorów kulturalnych treści" wydaje się co najmniej kontrowersyjny. Autor opierał się na przykładach, zaczerpniętych z prasy fabrycznej województwa kieleckiego. Nie identyfikując form pracy wszystkich pism zakładowych, można jednak twierdzić, że jej zasadniczy profil jest bardzo zbliżony we wszystkich rejonach kraju. Sam jestem pracownikiem prasy fabrycznej, znam więc zagadnienie z własnej pracy jak i lektury innych czasopism zakładowych. Nie umniejszając wartości akcji kulturowych inicjowanych przez te czasopisma, uważam, że mimo wszystko są to z konieczności akcje sporadyczne, nie mogą więc stanowić pełnego i ciągłego wkładu w uaktywnienie życia kulturalnego środowiska — przynajmniej w tak dużym stopniu, jak chciałby to widzieć W. Jankowerny. Używając sformułowania „z konieczności" myślę przede wszystkim o nacisku administracyjnym na zespoły redakcyjne, aby przede wszystkim zamieszczały informacje z życia gospodarczego przedsiębiorstwa, które jest wydawcą gazety.

Ta ostatnia uwaga wydaje mi się bardzo istotna i brzemienna w skutki. W powodzi większych i mniejszych informacji tego typu, przekazywanych przez administrację w sposób najczęściej z góry uniemożliwiający dyskusję na temat ewentualnego niezamieszczenia, gazeta zakładowa przestaje być tym, czym być powinna — trybuną załogi. Staje się po prostu biuletynem informacyjnym, poszerzonym o skromne komentarze. Znamienny dla całej prasy zakładowej brak publikacji krytycznych sprawił, że zasłużyła ona sobie na powszechnie używany epitet „prasy bezkonfliktowej". Nie oznacza to, oczywiście, że takich publikacji w ogóle nie ma — rzecz w tym, czego one dotyczą. Do najczęściej powtarzających się tematów krytycznych należą: brak wody w fabrycznej łaźni, spóźnienie się do pracy robotnika X w wydziale Y, nie zamiecione pomieszczenie itp. Są to sprawy w życiu załogi dokuczliwe, trzeba walczyć o ich usunięcie. Ale z chwilą, gdy jedynie one są legitymacją krytycyzmu gazety zakładowej — sytuacja staje się groteskowa.

Jest faktem bezspornym, co można stwierdzić w każdym komplecie pisma zakładowego, że krytyczne uwagi pism fabrycznych w ogromnej większości dotyczą pracowników fizycznych i młodszego personelu technicznego oraz administracyjnego, rzadko natomiast odnoszą się do kadry kierowniczej, niekiedy zresztą stanowią specyficzne „przygotowanie gruntu" do zmian personalnych w tej kadrze. Podobnie jest w wypadku nieprawidłowości organizacyjno-produkcyjnych. Dostrzega się w piśmie te mniejsze, a pomija często te, które są decydujące dla przedsiębiorstwa, a nawet odpowiedniej gałęzi gospodarki narodowej. Przykłady można mnożyć, tutaj ograniczę się tylko do jednego, ale chyba wystarczająco wymownego.

W czasie narady poświęconej jakości motocykla wytwarzanego przez Wytwórnię Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku skonstatowano, że jego jakość jest obniżana przez silnik, a więc część najistotniejszą, sprowadzaną przez WSK z Dąbia. Silnik ów, co może wydać się paradoksalne, posiada najwyższy krajowy symbol jakości. Temat dla zakładowej gazety pikantny, mogący spowodować pozytywne reperkusie techniczno-ekonomiczne dla obu fabryk. Niestety, nie wykorzystany. I to bynajmniej nie z powodu zastrzeżeń administracyjnych. Otóż dyrektor naczelny WSK, mówiąc o wciąż jeszcze dużej liczbie zgłaszanych reklamacji, kurtuazyjnie przemilczał „wkład" zakładów w Dąbiu, zaś nawyk redakcji polegający na ograniczeniu się do przekazywania opinii tzw. oficjalnych, znalazł wygodne usprawiedliwienie.

U źródeł takiej sytuacji leży przede wszystkim fakt niechęci zespołu redakcyjnego do podejmowania tematów stwarzających, lub mogących stworzyć sytuacje konfliktowe. Istnieje co prawda uchwała CRZZ w sprawie prasy zakładowej, chroniąca redaktorów przed ewentualnymi sankcjami ze strony administracji, cóż — gdy jej realizacja spotyka się ze strony czynników, mających ułatwić pracę gazet fabrycznych, z całkowitą obojętnością.

W czasie ogólnopolskiej narady redaktorów prasy zakładowej (Arturówek k. Łodzi, luty br.), zwrócono uwagę na niedostateczne uczulenie samorządów robotniczych i komitetów zakładowych PZPR na problemy gazet fabrycznych. W konkretnym wypadku „Głosu Świdnika" obie te instytucje, występujące w charakterze patronów gazety, swoje zainteresowanie dla jej spraw ograniczyły do udzielenia poparcia przy staraniach o przydział odpowiedniego limitu papieru. Od lipca ubiegłego roku nie odbyło się ani jedno spotkanie, na którym dokonano by rzeczowej oceny pracy zespołu redakcyjnego, a jedynym objawem zainteresowania jego pracą było zapraszanie redaktorów na konferencje, narady, posiedzenia.

W tej sytuacji administracja zakładu, nie widząc w obu opiekunach energicznego egzekutora zgłaszanych przez gazetę postulatów, nieczęsto poczuwa się do obowiązku ich realizacji. W dalszym ciągu nie załatwiona pozostaje sprawa przyznania redakcji pomieszczenia na terenie zakładu, choć jest to oczywistą koniecznością. W dalszym ciągu bez echa pozostają propozycje redakcji, dotyczące najróżnorodniejszych dziedzin życia przedsiębiorstwa, choćby umundurowania portierów hoteli fabrycznych, wprowadzenia reorganizacji w dziale ekspedycji i wielu innych.

Jest rzeczą zrozumiałą, że nie można każdą sprawą absorbować uwagi komitetu zakładowego PZPR, czy samorządu robotniczego. Rzecz idzie o wytworzenie atmosfery zaufania do efektywności pomocy tych instytucji, o stworzenie klimatu zainteresowania pracą redakcji.

Warto jeszcze zatrzymać się nad sprawą popularności pisma w swoim środowisku. Najbardziej ewidentną jej miarą jest liczba korespondentów, uczestniczących w redagowaniu pisma. Nie dysponując danymi potrzebnymi do uogólnienia, ograniczę się do przykładu z własnego podwórka. „Głos Świdnika", organ Samorządu Robotniczego w WSK, w chwili obecnej nie jest w stanie wskazać na choćby jedną osobę stale współpracującą z redakcją. W swoim czasie było kilku ludzi systematycznie zamieszczających materiały w gazecie, ale to w swoim czasie. I nie wiem, czy zawiniła tutaj niesystematyczność ukazywania się gazety, czy brak zainteresowania materialnego korespondentów, dość, że zrezygnowali oni ze współpracy z redakcją. A już na pewno nie da się tego wytłumaczyć niechęcią ludzi pracujących fizycznie do pióra; przemawia przeciw temu liczba osób uczestniczących w przeróżnych konkursach na pamiętniki, wspomnienia, a także liczba respondentów ankiet itp. Zdarza się wśród podpisów firmujących poszczególne publikacje spotkać nazwisko nie figurujące w składzie członków redakcji, ale są to przeważnie artykuły zamawiane bądź zamieszczane na polecenie ete.

Ten brak łączności z załogą musi budzić zaniepokojenie. W najlepszym wypadku oznacza to niepopularność pisma, w najgorszym — oderwanie się od spraw załogi. Zarówno od samej redakcji jak i jej opiekunów zależy wyjście z tego impasu. A droga jest jedna: odbudowanie wśród załogi przedsiębiorstwa wiary w skuteczność działalności redakcyjnej, wiary, że w tej działalności nastąpiła pełna identyfikacja interesu społecznego z interesem każdego pracownika.

Między zjazdami

Zwróciliśmy się do prezesów wszystkich oddziałów ZLP na ziemiach zachodnich i północnych z prośbą o udzielenie odpowiedzi na dwa pytania:

1) Jaki jest dorobek środowiska w okresie od poprzedniego Zjazdu Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych w Bydgoszczy?

2) Czy ta twórczość w dostateczny sposób jest związana ze współczesnością ziem zachodnich i północnych?

Oto wypowiedzi:

Władysław Dunarowski
Bydgoszcz

ODDZIAŁ bydgoski liczy 16 członków. Rok bieżący, jeśli chodzi o twórczość oryginalną członków, nie należy do szczególnie urodzajnych. Szereg prac czeka swej kolejki w wydawnictwach, a z rzeczy wydanych warto odnotować czwarty tom „Słownika A. Mickiewicza" pod redakcją Konrada Górskiego. W czerwcu br. ukazały się nakładem LSW „Opowiadania wybrane" Władysława Dunarowskiego. Marian Turwid ogłosił zbiór esejów pt. „Wyprawy po diamenty". Mirosław Kasjan wydał „Przysłowia i metaforyka potoczna w twórczości Słowackiego" a w zapowiedziach wydawniczych Wyd. Lit. podaje tytuł nowego tomiku poetyckiego pt. „Gałązka mroku". Również Kazimierz Hoffman figuruje w zapowiedziach tegoż wydawnictwa z trzecim tomikiem poetyckim pt. „Rousseau".

W zapieczu oddziału egzystuje Klub Literacki „Pomorze". Czterech członków Klubu ma po 1 tomiku poetyckim: Edmund Puzdrowski, Wojciech Roszewski, Zdzisław Polsakiewicz i J. Ordan. Niespodzianką rokującą dobre nadzieje — było zdobycie nagród i wyróżnień na konkursie na debiut prozatorski, zorganizowanym przez LSW i ZMW przez 4 autorów naszego środowiska: Jerzy Waksmański, Krzysztof Nowicki, Bogumiła Dziekan i Krystian Czerwiński — którzy należą do Klubu „Pomorze".

W zakres działalności oddziału wchodzi także akcja wydawnicza. Od 15 lat wychodzi dwutygodnik społeczno-kulturalny „Pomorze", firmowany przez oddział i redagowany przez członków oddziału ZLP. Również drugie pismo społeczno-kulturalne „Fakty i Myśli" z dodatkiem literackim „Wiatraki", ukazujące się od 18 lat w Bydgoszczy, pod naczelną redakcją kol. Jana Górec-Rosińskiego, skupia wokół siebie członków tut. środowiska literackiego.

Wydarzeniem była Sesja Literacka, która odbyła się dnia 11 marca 1967 r. z okazji XX-lecia naszego oddziału. Przytoczę jedno zdanie tow. Józefa Majchrzaka, I sekretarza KW PZPR w Bydgoszczy, który m. in. powiedział: „Pozwólcie, że podziękuję Wam za to, że w tę piękną, umęczoną Ziemię Bydgoską tchnęliście nowe życie twórcze". A przewodniczący Prez. WRN, Aleksander Schmidt, przekazał nam zbiorową odznakę honorową dla oddziału ZLP Bydgoszcz — „Za szczególne Zasługi dla Rozwoju Województwa Bydgoskiego".

Uważam, że ten gest mówi wiele, a przede wszystkim wyraża stosunek naszych władz do środowiska literackiego, stosunek pełen życzliwości i zrozumienia dla naszych twórczych poczynań, tak bardzo uczulonych na aurę klimatu.

Czesław Kuriata
Koszalin

DOROBEK koszalińskiego środowiska literackiego w okresie od ostatniego zjazdu jest znaczny, co świadczy o stałym jego rozwoju. To pochlebne stwierdzenie nie pochodzi od nas samych, powtarzam je tylko za obserwatorami naszych poczynań literackich. Podobne zdanie mają również krytycy interesujący się naszym środowiskiem. (W tym miejscu nasuwa się natychmiast uwaga na marginesie, że zainteresowanie krytyki literackiej ośrodkami pozawarszawskimi jest w dalszym ciągu zbyt nikłe).

Aby potwierdzić zdanie na wstępie tej wypowiedzi, wystarczy przytoczyć fakt, że wydaliśmy w okresie międzyzjazdowym kilkanaście pozycji książkowych. Przykładowo wymienię w tym miejscu tylko kilka naszych najnowszych książek. Zacznę od tomików poetyckich, które wydali następujący koledzy: Zbigniew Jankowski („Zar" — Wydawnictwo Lubelskie), Tadeusz Pawlak („Korzenie" — Wydawnictwo Poznańskie i „Człowiek najdalszy" — Wydawnictwo Morskie) — oraz niżej podpisany („Powrót księcia Eryka" — Wydawnictwo Poznańskie i „W każdą podróż" — Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza). Mniej ukazało się ostatnio książek prozą, ale i w tym zakresie warto odnotować powieść Zbigniewa Kiwki „Dwie barwy jednej wiosny", czy też drugie wydanie opowiadań dla dzieci (również w 20-tysięcznym nakładzie) „Morze szumi jak dawniej" Gracjana Fijałkowskiego. W chwili, gdy ukażą się w druku te słowa, czytelnicy znajdą na półkach księgarskich dalsze książki koszalińskich pisarzy — a mianowicie nowe wiersze Anatoliusza Jurenia, tom krytyk teatralnych Andrzeja Falkiewicza oraz drugi zbiór opowiadań Zygmunta Zelwana. W tym samym czasie Wydawnictwo Poznańskie opublikuje antologię opowiadań koszalińskich autorów pt. „Pierwsze widzenie".

W okresie międzyzjazdowym oddział nasz powiększył się o dwóch kolegów: Zbigniewa Jankowskiego i Tadeusza Pawlaka, mamy również kilku następnych kandydatów do Związku, m. in. Anatoliusza Jurenia, Andrzeja Falkiewicza, Zygmunta Zelwana i Teresę Ferenc. Na naszym terenie działa również Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, który skupia kilkadziesiąt osób — kilku poetów klubu przygotowuje obecnie do wydania swoje pierwsze książki.

Po wyliczeniu więc powyższych faktów sądzę, że ci, którzy mówią o stałym i ciekawym rozwoju koszalińskiego środowiska literackiego, niewątpliwie mają rację.

Z kolei odpowiem na drugie pytanie „Kameny": „Czy ta twórczość w dostateczny sposób związana jest ze współczesnością, szczególnie ze współczesnością ziem zachodnich i północnych?". Z braku miejsca odpowiem krótko. Tak, twórczość nasza jest jak najściślej związana ze współczesnością — odsyłam w tym miejscu zainteresowanych do wymienionych już w tej wypowiedzi książek. Odpowiedź na drugi człon pytania „Czy ta twórczość jest szczególnie związana ze współczesnością ziem zachodnich i północnych?" nie jest prosta. Bowiem odpowiedź na to pytanie jest zależna od zadania, jakie stawia się literaturze. W moim osobistym odczuciu czerpiemy z życia tych ziem przy jednoczesnym usiłowaniu tworzenia literatury polskiej. Stąd też nie staramy się zastępować publicystów, nie znajdziecie więc w naszych książkach zbyt wiele autentycznych, pomorskich czy północnych, nazw geograficznych. Dotyczy to szczególnie poezji. Nie oznacza to jednak wcale, że nie są to książki związane w jakiś szczególny sposób z naszą ziemią. A tego faktu, że związek ten nie jest bezpośredni i publicystyczny, nie należy oceniać negatywnie. Moim skromnym zdaniem powinno być wręcz przeciwnie. Każda twórczość literacka żywi się realiami i sprawami ziemi pisarza i jednocześnie każda dobra literatura ma ambicje, aby być literaturą narodową.

Władysław Gębik
Olsztyn

Olsztyński oddział Związku Literatów Polskich liczy obecnie 15 członków. W liczbie tej ośmiu najstarszych, to zasłużeni bojownicy o polskość Powiśla, Warmii i Mazur, w latach cesarskiej, republikańskiej i hitlerowskiej niewoli. Fakt ten rzutuje z jednej strony na literackie zainteresowania członków oddziału, z drugiej na ich społeczno-kulturalne zaangażowanie.

Miniony rok pracy przyniósł w tym regionie dość skromny plon książkowy i bogate zapowiedzi na rok przyszły, szczególnie w kręgu literackiej młodzieży. Z niecierpliwością oczekujemy na zapowiedziane nowe pozycje i debiuty, gdyż one umożliwiają nam może zasilenie oddziału młodymi talentami, czego nie byliśmy w stanie do tej pory osiągnąć. Brak na miejscu wydawnictwa zdolnego do zaspokojenia potrzeb olsztyńskiego środowiska literackiego powoduje, że pisarze olsztyńscy zmuszeni są kołatać o możliwości druku swych prac w wydawnictwach pozaolsztyńskich, które w miarę wolnego miejsca i sympatii do tego regionu starają się uwzględnić również i potrzeby pisarzy Ziemi Warmińsko-Mazurskiej. Nierzadko odmowa uzasadniona jest obecnością w Olsztynie działu wydawniczego Stowarzyszenia „Polezierze", które w roku ubiegłym nie było w możności wydania ani jednej nawet pozycji beletrystycznej.

W roku 1966 Ludowej Spółdzielni Wydawniczej zawdzięcza Tadeusz Stępowski ukazanie się powieści „Było to wczoraj", a Maryna Okęcka-Bromkowa zbioru tekstów pieśni ludowych regionu warmińsko-mazurskiego „Śpiewa wiatr od jezior", natomiast w Wydawnictwie Łódzkim ukazała się powieść Henryka Panasa pt. „Grzesznicy", a w Instytucie Wydawniczym „Pax" wspomnienia Marii Zientara-Malewskiej pt. „Śladami twardej drogi". W roku bieżącym natomiast Wydawnictwu Morskiemu zawdzięczamy pracę Władysława Gębika pt. „Burzom dziejów nie dali się zgnieść", a Ludowej Spółdzielni Wydawniczej „Snacerki po Olsztynie" Alojzego Śliwy.

Najbardziej charakterystycznym przejawem zainteresowań regionalnego i społecznego zaangażowania we współczesność są zainicjowane przez oddział i Klub Literatury Regionalnej ZLP, jedyny dotychczas trwały „owoc" Zjazdów Pisarzy ZZLP, tzw. Dni literatury Warmii i Mazur.

Jednym z ważniejszych celów tych „Dni" literatury regionalnej jest uświadomienie społeczeństwu Powiśla, Warmii i Mazur, historycznej odpowiedzialności za przebieg procesów wynikających z konsekwencji powrotu tych ziem w roku 1945 do ojczyzny.

Stanisława Fleszarowa-Muskat
Gdańsk

W CIĄGU minionego roku, dzielącego nas od ostatniego zjazdu pisarzy ziem zachodnich i północnych, środowisko gdańskie wzbogaciło się o 19 książek.

Oto one:

L. Bądkowskiego — „O których mówimy", M. Czychowskiego — „Misterium na uboczu", B. Faca — „Analogie", Fr. Fenikowskiego — „Kałoszem do Skandynawii", St. Fleszarowej-Muskat — „Zatoka śpiewających traw" (w końcowej fazie druku), St. Goszczurnego — „Prom" i „Drugi powrót", B. Justynowicza — „Ćwiczenie dykcji", E. Kobylińskiej - Masiejewskiej — „Córki chcą inaczej", L. Legut — „Życie artystki Kimgi Kidney", A. Necia — „W pogoni za ławicami", J. Piepki — „Szumiące wrzosy" i „Ponjida" (w druku), M. Pruszkowskiej — „Kapitanówna", I. Przewłockiej — „Dom ze szkła", S. Siereckiego — „Zatoka świętej ciszy" i „Ognie nad świętym morzem", M. Stecewicza — „Jeźdźcy do kwiatów", St. Załuskiego — „Gdy kończy się noc".

Zważywszy, że gdański oddział ZLP liczy dwudziestu sześciu członków, jest to chyba dorobek dość znaczny. Byłby znaczniejszy, gdyby wagę reprezentowanego przez nas tematu zechciały docenić niektóre, potężne bądź co bądź, ogniwa nowoczesnego przekazu kultury. Dla przykładu: z ogłoszonego przed dwoma laty zamkniętego konkursu warszawskiej telewizji na widowisko o ziemiach zachodnich i północnych (w którym literaci gdańscy otrzymali wysokie nagrody), zostało zrealizowane tylko jedno, oczywiście autorów warszawskich.

Już niektóre tytuły książek naszych pisarzy uprzedzają odpowiedź na pytanie drugie — świadczą o silnym związku autorów z północną, nadmorską ziemią, z jej wiodącą problematyką, a nie wszystkie książki manifestują swą treść tytułami, jak np. Bądkowskiego „O których myślimy", tom opowiadań mocno osadzonych w pomorskim klimacie, czy Przewłockiej „Dom ze szkła", umiejscowiony w powojennym Gdańsku.

Pisarze naszego środowiska stawiali zawsze niezwykle wysoko swoją społeczną powinność. W roku ubiegłym z racji XX-letniego jubileuszu gdański oddział ZLP otrzymał od władz swego województwa zaszczytne odznaczenie „Zasłużony dla Ziemi Gdańskiej". Jest to pierwsze odznaczenie tego rodzaju dla ZLP. Tak jak przeszłość tej ziemi, tak i dzień dzisiejszy odbija się w literaturze wiernym obrazem — tworzą go nie tylko pisarze od pokoleń związani z regionem, jak Necel czy Piepka, ale i przybysze z innych stron kraju, od pierwszych swoich książek zespoleni odpowiedzialną pisarską solidarnością z całym społeczeństwem.

Czy to jest jednak wszystko, na co nas stać? Na pewno nie. Wciąż czekamy na wielką epicką powieść, godną tego, co dokonało się na tej ziemi. Może napisze ją ktoś z nas, może ktoś z młodszych kolegów, zrzeszonych w naszym ambitnym i posiadającym już duży dorobek Klubie Młodych, a może ktoś z ludzi morza, coraz częściej sięgających po pióro ku wielkiemu i rzetelnemu pożytkowi naszej morskiej literatury. Bo środowisko pisarskie Wybrzeża, mimo że odpowiadając ściśle na pierwsze pytanie, wymieniłam wyłącznie książki członków ZLP — nie jest ograniczone tą przynależnością organizacyjną. Specyfika wspólnego nam tematu rozszerza je znacznie i chyba należy się cieszyć, że książki takie, jak np. „Znaczy kapitan" Borcharda — to także literatura piękna.

Zbyszko Bednorz
Opole

PYTANIE o dorobek środowiska literackiego w okresie od jednego Zjazdu do drugiego przyjmuję jako pytanie przekorne, podchwytliwe, zaczepne. Więc trochę obocznie odpowiadam: roczek to tak niewiele dla kombinatu przemysłowego, a cóż dopiero dla chudych skrzypiących piór! A mimo to myślę, że w tej mikro-wypowiedzi dla „Kameny" nie uda mi się należycie wymierzyć stopnia wzrostu naszego opolskiego bractwa literackiego metodą szybkościową, bo nie bardzo wiem jak bilansuje się wartości z dziedziny życia literackiego. Owszem, środowisko literackie Opolszczyzny w minionym roku wzbogaciło się liczebnie tylko o jednego nowego członka (oddział nasz obecnie składa się z 18 pisarzy), ale przecież w minionym roku ukształtowało się nareszcie mocne zaplecze młodzieży twórczej. Rozwijający się przy opolskim oddziale Literacki Klub Młodych zrzesza kilkunastu interesujących, utalentowanych poetów i prozaików, z których większość ma poza sobą próg debiutancki w czasopismach, a niektórzy posiadają już oddzielne publikacje książkowe. Środowisko pisarskie Opolszczyzny rozumiane więc szeroko jako grupa kulturotwórcza zauważalna społecznie jest dziś znacznie mocniejsze niżeli było przed rokiem. Nazwiska pisarzy zrzeszonych w opolskim oddziale ZLP stosunkowo często pojawiają się w różnych periodykach literacko-kulturalnych kraju, więcej też niż kiedykolwiek notuje się wojaży spotkaniowych, autorskich (także poza województwem), słowem coraz poważniejszy bywa ślad uczestnictwa naszego środowiska w ogólnopolskim życiu literackim. Tym bardziej jaskrawo rysuje się problem braku własnego czasopisma społeczno-kulturalnego na Opolszczyźnie, braku dotkliwego i niezrozumiałego, skoro wszystkie zainteresowane w dziedzinie spraw kultury i polityki czynniki konieczność powstania tutaj oddzielnego pisma wielekroć razy postulowały. Jest rzeczą oczywistą, że środowisko literackie jest zainteresowane w powstaniu tego typu pisma, choć nie walczymy pro domo sua, bo winna tu być decydująca nie nasza literacko-środowiskowa potrzeba, ależ potrzeba ogólnospołeczna, która jest bezdyskusyjna.

Ostatecznie sens główny naszego powołania określają książki, określa twórczość literacka, a nie artykuły, felietony i publicystyka.

W czasie interesującym „Kamenę" ukazały się w księgarniach następujące nowe pozycje członków ZLP zamieszkałych w Opolu: Anny Markowej „Wczorajsze", powieść (Wyd. Łódzkie); Zbigniewa Żakiewicza „Liście", tom opowiadań (Wyd. „Śląsk"): Stefana Ordęgi-Rożnickiego „O teatrach amatorskich na Opolszczyźnie", publicystyka kulturalna (Instytut Śląski); Kazimierza Kowalskiego „Zdrada", powieść (Wyd. Łódzkie); Władysława Studenckiego „Wieczory bytomskie", wspomnienia i materiały literackie (Zakł. Nar. im. Ossolińskich), Zbyszko Bednorza „Ludowe żniwo literackie", studium literackie (Zakł. Nar. im. Ossolińskich).

W tym samym okresie Jan Goczoł przygotował do druku tom poezji pt. „Sprzed drzwi", który został złożony w Wyd. „Śląsk", Zbigniew Zielonka ukończył powieść historyczną również dla „Śląska", pt. „Świt ziemi", zaś Adolf Niedworok czeka na druk zbioru wierszy, pt. „Szare srebro dnia". Jesienią tego roku wyjdzie także książka Ryszarda Hajduka pt. „Ortodroma Śląsk — Brazylia"; Nina Gamrat-Kracherowa ukończyła powieść o Ziemi Raciborskiej, a Stefan Chmielnicki intensywnie uprawiał satyrę w lokalnej gazecie i przygotował satyryczny kabaret „Kukuryku".

Na ostatnie pytanie w tej miniwypowiedzi, a mianowicie czy twórczość nasza „w dostateczny sposób związana jest ze współczesnością, szczególnie ze współczesnością ziem zachodnich i północnych" — odpowiedzieć wypada bez wahania twierdząco, tak, nawet powieści historyczne, tak, nawet opowiadania i poezje pozornie nie mające bezpośrednich odniesień tematycznych. Wszystko co na miarę naszych talentów piszemy, czym dajemy świadectwo swą twórczością, swym zaangażowanym pisarstwem ma na tych ziemiach tak samo jak w reszcie kraju, swój określony walor. No i jest związane ze współczesnością. Nie może być przecież inaczej, któż by się chciał bowiem wiązać z dziewiętnastowieczem?

Gerard Górnicki
Poznań

W okresie ostatniego minionego roku dorobek poznańskiego środowiska literackiego potwierdził jego aktywność pisarską i organizacyjną. Wielu pisarzy wydało nowe książki, doliczyłem się ich ponad 15, są to m.in.: utwory — P. Bystrzyckiego, R. Daneckiego, G. Górnickiego, K. Iłłakowiczówny, B. Koguta, J. Korczaka, T. Kraszewskiego, Cz. Michniaka, E. Morskiego, E. Paukszty, J. Ratajczaka, A. Zeylanda; ponadto wydawnictwa wznowiły 6 tytułów. Z literatury obcej poznańscy tłumacze, np. K. Byczewska, M. Gwizdalska, E. Herbert, postarali się o udostępnienie polskiemu czytelnikowi 7 nowych tytułów, a sztuka R. Brandstaettera — „Zmierzch demonów" — grana była w dwóch teatrach w kraju. Trzy dobre debiuty książkowe: Dziurley'i, Górnego, Mańkowskiego budzą ufne nadzieje na przyszłość.

W 1966 r. trafiły do Poznania cenne nagrody literackie: dla E. Paukszty i J. Korczaka — MON, dla B. Latawiec-Balcerzanowej i J. Ratajczaka — gdańska „peleryna i pierścień", a T. Kraszewski otrzymał indywidualną, natomiast R. Danecki i S. Kamiński zespołowe nagrody m. Poznania i województwa za upowszechnianie kultury, co dowodzi o dobrej pamięci prezydiów rad narodowych i o różnorodnej działalności społecznej pisarzy.

Tradycyjne „czwartki literackie" w Pałacu Działyńskich, a było ich ok. 28, pozwoliły zaprezentować mieszkańcom Poznania również pisarzy z kilku innych środowisk: warszawskiego, krakowskiego, szczecińskiego, bydgoskiego, opolskiego, zielonogórskiego, co niewątpliwie stwarza pożyteczną okazję do kontaktów osobistych i dyskusji.

Z nowości organizacyjnych to wznowienie mecenatu naszego oddziału nad Technikum Księgarskim; spotkania autorskie, dyskusje — z nauczycielami i uczniami tej szkoły, w których brali udział pisarze z kilku ośrodków i z Poznania — wg opinii dyrekcji szkoły — są z dużą korzyścią dla tych przyjaciół książki. Wspólnie z Dyrekcją PP „Dom Książki" przeprowadziliśmy eksperymentalnie tzw. dekadę pisarzy środowiska poznańskiego: były to dyżury w księgarniach, spotkania autorskie, wszystko w ciągu 10 dni. Ofiarni księgarze sprzedali ok. 1800 książek, zacieśnili z nami więź przyjaźni. Dobry znak na majowe Dni Oświaty, Książki i Prasy — to koordynacja licznych spotkań autorskich przez Dyrekcję Wojewódzkiej Biblioteki; konkretny gest Wielkopolskiego Towarzystwa Kultury — to stypendia dla paru pisarzy.

Jubileusz dziesięciolecia Wydawnictwa Poznańskiego ukazał dobitnie dorobek tej placówki edytorskiej, również w służbie dla środowisk literackich ziem zachodnich i północnych, z których znaczny procent wydanych tytułów — spośród przeszło 700 — dotarł do rąk czytelników.

Twórczość pisarzy środowiska poznańskiego jest wyraźnie związana ze współczesnością ziem zachodnich i północnych. W kilku wydanych ostatnio książkach problemy moralno-obyczajowe, społeczne i polityczne osadzone są mocno na tle życia społeczeństw tej części naszego kraju, zawierają równocześnie trafne uogólnienia. Wypowiadali się już o tych książkach recenzenci wielu różnych czasopism literackich.

Zbigniew Kubikowski
Wrocław

PISARZE wrocławscy wydają co roku przeciętnie ok. 30 książek. Poprzedni rok w tym zakresie nie odbiegał od normy. Wymieniłbym tu oddzielnie książki krytyczne Józefa Kelery („Kpiarze i moraliści") i Jacka Łukasiewicza („Zagłoba w piekle").

Jeśli za dorobek środowiska — prócz publikacji — uważać mamy także inicjatywy organizacyjne, wymieniłbym jako najważniejszą w ostatnim okresie kolejną Kłodzką Wiosnę Poetycką, poświęconą w tym roku stosunkowi poety współczesnego do tradycji literackiej (referaty Jana Błońskiego, Mirona Białoszewskiego, Jacka Łukasiewicza).

Przyznaję, że drugie pytanie nie brzmi dla mnie jasno. Współczesność ziem zachodnich i północnych jest tym samym, co współczesność polska. Prócz tego przez ten termin rozumieć można zarówno współczesność w tematyce, co w szeroko pojętej problematyce intelektualnej utworu literackiego, czy w poszukiwaniach estetycznych. Sądzę, że twórczość pisarzy wrocławskich związana jest żywo ze współczesnością w każdym z wymienionych znaczeń.

▶

OD REDAKCJI

Zamieszczone tu wypowiedzi prezesów oddziałów ZLP na ziemiach zachodnich i północnych przygotowywaliśmy do numeru z 15 czerwca br., w całości poświęconego Zjazdowi Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych. W ostatniej chwili dowiedzieliśmy się, że Zjazd został przesunięty na wrzesień. Nie chcąc opóźniać druku numeru zdecydowaliśmy się jednak opublikować wówczas większość przewidywanych materiałów. Wyszliśmy bowiem z założenia, że niezależnie od jednorazowej uroczystości, jaką jest Zjazd, warto przedstawić czytelnikom „Kameny" poetów i prozaików, którzy tworzą między Bałtykiem a Karkonoszami.

Dziś, w przededniu Zjazdu (mamy nadzieję, że nie zostanie on już przesunięty), drukujemy uprzednio nadesłane wypowiedzi prezesów ZLP. Niestety, mimo ponagleń, nie otrzymaliśmy odpowiedzi na nasze pytania od prezesa ZLP w Katowicach, co nieco zubaża prezentację. Ze Szczecina zabiera głos członek zarządu, Adolf Momot.

50 lat literatury radzieckiej

Szczególny futurysta

JAN HUSZCZA

FUTURYZM rosyjski był inny niż włoski. Nie ograniczał poezji, bo tak często bywało, nie wyczerpywał się w negacji — choć negacja w wielu sytuacjach staje się koniecznością — ale poezję przetworzył i wzbogacił, twórczo odciął się od puszkinowskiej i niekrasowowskiej tradycji, od symbolizmu.

Oczywiście, wymierzono „Policzek powszechnemu gustowi", wzięli udział w tym wydawnictwie z 1912 roku D. Burliuk, M. Burliuk, A. Kruczonych, W. Kandinski, B. Liwszyc, Wł. Majakowski, W. Chlebnikow. Malarze i poeci, czasem malarze i poeci w jednej osobie. Z „Parochodu Współczesności" buńczucznie obiecano wyrzucić Puszkina, Dostojewskiego, Tołstoja i in., zaś „różnych tych" Kuprinów, Błoków, Sołohubów, Remizowych, Awerczenków, Czornych, Kuźminów, Buninów postanowiono przenieść do willi nad rzeką, gdyż „taką nagrodę gotuje los krawcom".

Z wysokości wyimaginowanych drapaczy chmur patrzono na nicość wyżej wymienionych. W następstwie jednak Majakowski stał się świadomie — „przydeptując gardziel swojej pieśni" — poetą w wielkiej mierze doraźnie utylitarnym, piewcą Rosji zindustrializowanej, przetwarzającej się i unowocześniającej. A ten, którego i Majakowski nazywał swoim nauczycielem, o którym napisał, że jego „poetycka sława jest bez porównania mniejsza od jego znaczenia"?

Miał na myśli Wiktora, syna Włodzimierza Chlebnikowa, który przybrał sobie znaczące imię Wielemira. Żył, niestety, krótko. Jego życie zawarło się między datami: 1885—1922. Umarł na tyfus. Jego twórczość dotąd jest mało dostępna i nie uporządkowana.

Całkowicie skoncentrowany na poezji, w życiu codziennym był człowiekiem wręcz dziwacznym, absolutnie niepraktycznym. Nawet gubił swoje bezcenne wiersze.

W innojęzycznej literaturze fascynuje właśnie inność. Inność a nie podobieństwo, choć nie ma całkowitej inności. I tak jest dobrze. Bo gdzieżby było miejsce na nadzieję zrozumienia się i porozumienia?! Przyznaję, że na co dzień, poczynając od wczesnych lat młodości, częściej obcowałem z innymi poetami i prozaikami radzieckimi. Zbyt wiele nazwisk musiałbym tu wymienić. Dziś jednak, ze względu na ową wyjątkową swoistość, pozostał mi przede wszystkim Chlebnikow. Najpóźniejszy ze znajomych. Wcześniejszymi byli najbardziej młodemu człowiekowi narzucający się Jesienin, a następnie Majakowski.

Chlebnikow, jak na futurystę przystało, myślał o architekturze przyszłości, powołując się na znakomitego matematyka Łobaczewskiego, twórcę geometrii nieeuklidesowej, który odrzucał postulat o równoległych. Poeta pisał o „zjeździe szklanych chat", wołał: „niech linie krzywe Łobaczewskiego ozdobią miasta". W artykule „My i domy" żądał miast, zbudowanych ze stalowych klatek o pokojach ze szkła... itd.

Wielbił Whitmana. Zapoznał się z nim ponoć za pośrednictwem przekładów, które ukazywały się w latach 1907—1908. Ale w sprozaizowanych frazach Whitmana nie znajdujemy tego zgiełku i tej różnorodności, co w utworach Chlebnikowa, który na początku swojej drogi usiłował stworzyć „zaumnyj jazyk" (język pozarozumowy), marząc o skonstruowaniu języka światowego. Warto przytoczyć charakterystyczny przykład słowotwórstwa „Zaklęcie przez śmiech":

O, rozśmiejcie się, śmiechacze,
O, zaśmiejcie się, śmiechacze,
Którzy śmiejąc się śmiechami
śmiechają śmiechalnie,
O, rozśmiejcie się uśmieszalnie,
O rozśmieszysk wyśmiewalnych,
wyśmiewanych śmiech śmiechaczy...

(Przekład Jana Śpiewaka)

Najbardziej jednak pasjonowała tego futurystę... przeszłość i, powiedziałbym, zaprzeszłość. Zapisywał ptasie głosy. Z „Mądrości w sidłach":

PIEGZA: Fidijudididijurdi.
ZIĘBA: Jer- jer-szri- szri.
POŚWIERKA: Cit- cija- ciot.
POTRZESZCZ: Cirrr- ślip.
DZIĘCIOŁ: Kiks- kju-kju- kjuk.
GAJOŚPIEW ZIELONY: Ip- sip-sip-sipi-sirrr, djut- dju-dju...

(Przekład Jana Śpiewaka)

Kusi supozycja, może zupełnie wbrew prawdzie, że próby języka pozarozumowego raczej zmierzały ku ewokowaniu zaprzeszłości, w każdym bądź razie takie przypuszczenie bardziej mieści się w kontekście dorobku Chlebnikowa.

Urzekała go Ruś i Azja. Futurysta, szukający w „Słowie o pułku Igora", w bylinach, w folklorze. Szukał starych nazw dla miesięcy lub je wymyślał. Czynił eksperymenty językowe, które dałoby się nazwać jakimś „słowiańszczeniem". W innych czasach byłby może słowianofilem, marzącym o życiu na Rusi sprzed czasów Piotra Wielkiego. Byłby słowianofilem, ale bez ich niechęci lub często i nienawiści do Polski, jako słowiańskiego kraju o kulturze, rodowodem swoim związanej z łacińską. Zbyt go bowiem urzekało bogactwo dziejów w ich różnorodności i sprzecznościach. Najwięcej w tej twórczości odnośników do kultury azjatyckiej we wszelakich jej odmianach, ale wiele też i do europejskiej. Myślę, że ze względu na jego upodobanie do nadawania niemal magicznego znaczenia samogłoskom i sylabom trzeba wymienić Rimbauda, szczególnie zaś znany wiersz „Samogłoski".

Ale najprawdopodobniej jest to wynikiem obcowania na przykład z tekstami Wedy, indyjskiej „wiedzy świętej". Przekartkowałem stronice Upaniszady i widzę, że można w niej szukać źródeł podobnej inspiracji.

Gdy czasem zaglądam do niedawno zdobytych albumików z okazami wspaniałej architektury cerkiewnej, często domagającej się szybkiej renowacji, również przypomina się Chlebnikow. Słyszę dzwony, ale nie te radośnie w święta rozmawiające ze sobą wielotonami — tylko te, bijące na alarm z powodu jakiejś kolejnej „smuty", rozruchów i zamętu.

Ruś i Azja, ale nie azjatyckość Dżingis-chana. „*O Azjo! tobą męczę siebie*"... by móc szukać dróg swobodniejszych.

Poeta heroizujący, nieraz na sposób dawnych pieśni o ludowych bohaterach. Odkrywczy w szczegółach i spoisty w znanych mi całościach. Pisał wiersze i poematy.

Wyjątkowo oporny wobec tłumaczy, więc niech o muzyczności zaświadczy zwrotka w oryginale z wiersza „*W lesie*" (podtytuł: „*Słownik kwiatów*"):

Na eti złatistyje piżmy
Rosistyje wołosy wyżmi.
Woskliknieł nasmieszliwo
„tołko?"
Siergoju wozdusznaja olcha.

Dosadny:

Eto śmiert' idiot na pierepiś
Piszczewoho dowolstwija
czerwiej...

(To śmierć idzie rejestrować żywnościowe zasoby robaków")

Delikatny:

W etot dień gołubych
niedwiediej
Probieżawszich po tichim
resnicam...

(W ten dzień błękitnych
niedźwiedzi,
biegnących po rzęsach
cichych...)

Panteistyczny:

Czyż wiele nam potrzeba:
Nie: kromki chleba,
Z nią kropli mleka
A solą będzie niebo
I te obłoki...

Jego poezja ma twarz gniewną, posępną lub chmurną, niekiedy zaś wzruszająco rozjaśnioną.

Gotów ktoś zadać istotne pytanie: czyżby ta poezja była wyłącznie kreacyjna, a więc tym samym bezradna wobec rzeczywistości? Ależ skąd! Doświadczyłem w moim życiu upokarzającego głodu. Nie znam bardziej przejmującego wiersza o głodzie, jego istocie, niż „*Dlaczego?*"

Pisywał w czasie wojny światowej utwory przeciwko rzezi jak na przykład „*Niewolniczy brzeg*".

Rewolucję wita z entuzjazmem. Pojmuje ją jako „stichiję", spontaniczny żywioł, ale i zjawisko historycznie uzasadnione.

Pisał 10 marca 1917 roku w wierszu — monologu zdetronizowanego cara:

Mnie w każdej siermiędze roi się
Danton,
Za każdym drzewem czai się
Cromwell...

Żałuję, że poznałem się z nim dość późno, w 1944 roku, w warunkach nie sprzyjających kontemplacji. Przetłumaczyłem wtedy dla siebie wspomniany wiersz „*Dlaczego?*"

Moja charakterystyka jest impresyjna i ułamkowa. Da się zresztą chyba powiedzieć, że Chlebnikowych jest wielu, takie w nim bogactwo.

Jesienin a w dużym stopniu i Majakowski to dziś poeci tylko dla czytelników. Chlebnikow jest nadal poetą dla czytelników, dla badaczy, dla poetów. Dla poetów. Otóż to!

• • •

Jan Śpiewak, Anna Kamieńska i Seweryn Pollak podjęli się niezwykłego trudu, połączonego z wielkim ryzykiem, wydając w celofanowej serii PIW w 1963 roku wybór „*Poezji*" Wielemira Chlebnikowa. Gdy się konfrontuje przekłady z oryginałami, łatwo dojść do wniosku, że trud nie był bezowocny, ryzyko zaś zakończyło się autentycznymi sukcesami. Zrezygnowali z porządku chronologicznego, bo to Chlebnikow w ich układzie, niepotrzebnie jednak pozbawili dat wszystkie zaprezentowane utwory, wiele przecież z nich pochodzi od samego poety. Są bezsporne.

Literatura i czytelnik

(Dokończenie ze str. 1)

chaezy, a na odbywający się rok rocznie w Moskwie „Dzień poezji" — przychodzą po prostu tłumy.

Innym znamiennym rysem współczesnej literatury radzieckiej, zwłaszcza lat ostatnich, jest zdecydowana przewaga w prozie tematyki wiejskiej. Pomyśleć tylko: a u nas chłop i wieś zniknęły prawie całkowicie z kart powieści i opowiadań. Bierze się to zapewne stąd, że ogromna większość pisarzy radzieckich średniego i młodego pokolenia pochodzi ze wsi, której znajomość w naturalny sposób przenosi do literatury. Ale nie tylko to. Jeżeli w pierwszych latach po rewolucji, na skutek intensywnego rozwoju przemysłu i w ogóle przebudowy kraju, zadominowała tematyka przemysłowa, to w blisko pół wieku później, kiedy wieś stała się terenem nowych penetracji, uwaga pisarzy skupia się coraz bardziej na tematyce życia chłopskiego. Przy czym rzecz ciekawa, ale chyba i zrozumiała: najlepszymi osiągnięciami w tym względzie legitymują się przedstawiciele literatur narodowych (Litwa, Ukraina, Białoruś). Jeżeli jednak w dawniejszych powieściach o wsi dokonywano heroizacji zarówno nowych form życia jak i jego bohaterów, to obecnie pojawia się więcej akcentów krytycznych. Przykład: powieść Możajewa „Z życia Iwana Kuzkina", gdzie bohaterem głównym jest człowiek wyłamujący się z zespołu kołchozowego. Myślę zresztą, że dotyczy to i innych spraw, podejmowanych przez literaturę radziecką. Konstanty Simonow, mówiąc o tematyce ostatniej wojny, upomniał się o krytyczne naświetlenie pewnych nie ujawnionych dotychczas lub ujawnionych w sposób niedostateczny faktów i zdarzeń historycznych.

Słowem: jeśli można mówić o przemianach w literaturze radzieckiej a przemiany te niewątpliwie następują i to bardzo wyraźnie, to odbywają się one przede wszystkim i głównie w sferze poszerzania materii treściowej. Wcale lub tylko w stopniu minimalnym przemiany te dotyczą strony formalnej dzieła literackiego, jego struktury, kompozycji i języka. Jest to więc literatura tradycyjna, choć nie tradycjonalistyczna. Mnie osobiście najbardziej ujmuje w tej literaturze stosunek do czytelnika. Czytelnik zawsze jest w polu widzenia literatury radzieckiej. O czytelniku się myśli, do czytelnika zwracają się poeci i prozaicy, czytelnik aktywnie i z pasją podchodzi do wydarzeń literackich. Wydaje mi się, że ten szacunek dla odbiorcy nie występuje w takim stopniu u nas. Czasami nawet sądzę, że tego czytelnika u nas się lekceważy. Może więc warto przypomnieć pewien truizm, że nie ma literatury bez czytelników tak jak nie ma teatru bez widzów a koncertów bez aktywnych melomanów.

Jan Koprowski

Adolf Momot
Szczecin

SWOJE uwagi przekazuję w zastępstwie prezesa. Więc ich charakter będzie niejako prywatny. Oddział szczeciński Związku Literatów Polskich liczy obecnie 16 członków. Są to w większości ludzie młodzi, którzy zaczynali pisać już po wojnie. Okres od ubiegłorocznego zjazdu w Bydgoszczy był, jak sądzę, wyjątkowo pomyślny dla naszego środowiska, jeśli brać pod uwagę liczbę wydanych książek. Książki poetyckie ogłosili: Helena Raszka w PIW — „Portret zdziwiony sobą", Eliasz Rajzman w Wydawnictwie Poznańskim — „Spalony gołąb", Joanna Kulmowa aż 5 tytułów, w tym również wiersze dla dzieci i młodzieży, Józef Bursewicz (Wydawnictwo Poznańskie) — „Chłód nocy" oraz Katarzyna Suchodolska — „Miniatury poetyckie".

Prozaicy wydali 6 książek: Czesław Czerniawski w MON zbiór opowiadań „Znajome kształty na ziemi", w Wydawnictwie Morskim wspomnienia wojenne „Szli żołnierze" oraz nagrodzoną przez Gdańskie Towarzystwo Kultury powieść „Wielki rejs". Wydawnictwo Poznańskie zaś wydało książkę Wiesława Rogowskiego „Kamienny bruk", tematycznie związaną z pamiętną i tragiczną „Krwawą niedzielą w Bydgoszczy", oraz powieść Ryszarda Liskowackiego — „Powrót z tamtego brzegu". Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała powieść Adolfa Momota „Tyle słońca".

Pozostają jeszcze młodzi z Klubu Literackiego, którzy mają już po jednej wydanej książce, a kilku z nich w najbliższym okresie wyda kolejne pozycje. (Słomka, Wiliński, Frydrykiewicz, Dżaman).

Nie policzyłem jeszcze niemieckiego wydania historycznych książek Ireneusza Gwidona Kamińskiego oraz wznowień tegoż autora, a także licznych wieczorów i spotkań autorskich. Jest ich wiele, i związkowych i tych organizowanych przez instytucje lokalne, biblioteki, towarzystwo kultury, WZGS.

Dorobek, jak widać, jest względnie duży, mimo wyjątkowej sytuacji naszego środowiska literackiego. Pisarze Szczecina działają bowiem w ośrodku, gdzie nie ma pisma społeczno-kulturalnego ani wydawnictwa. Wiązano nadzieję z przekształceniem „7 Głosu Tygodnia", którego rzeczywiście profil „przekształcono", ale w pismo dla młodzieży. Zdarza się nawet, że pisarze szczecińscy otrzymują ogólnopolskie nagrody literackie, a społeczeństwo na tym terenie, gdzie pisarz mieszka, nic o tym nie wie, albo dowiaduje się ze źródeł centralnych. Z tych też m. in. przyczyn życie literackie nie jest pełne. Brak odważnej wymiany zdań, brak krytyki literackiej, brak wielu innych rzeczy. Może więc jubileuszowy zjazd, który w naszym mieście rozpoczyna obrady, będzie tym zjazdem, który nie zakończy się jedynie na referatach i dyskusji. Mam nadzieję, mimo że z usposobienia jestem pesymistą.

Bolesław Soliński
Zielona Góra

MUSZĘ przyznać, że z dużą satysfakcją przyjąłem zaproszenie „Kameny"

To bardzo dobrze, że pismo redagowane i wydawane na „kresach wschodnich", nie po raz pierwszy daje dowód swych zainteresowań życiem kulturalnym polskich ziem zachodnich. Dla mnie, to poza wspomnianą już satysfakcją, kolejny przykład ogólnokrajowej integracji, a w konkretnym przypadku dodatkowy jeszcze dowód, że literatura polska jest jedna, obojętnie w jakim geograficznie miejscu powstaje. Poza tym same zjazdy pisarzy ziem zachodnich i północnych, mają dla nas, zielonogórzan, znaczenie nieco inne, nie są tylko zwykłą okazją do kolejnego literackiego spotkania. Wyzwalają resentymenty, a przypominając naszą literacką „prehistorię" również konfrontują. Uważamy bowiem, że jako środowisko jesteśmy przede wszystkim konkretnym przykładem słuszności idei ich organizowania. One to stały się m. in. ważnym zaczynem przyspieszającym powstanie lubuskiego środowiska literackiego w regionie, który pod tym względem nie posiadał żadnych tradycji. Bierzemy w nich udział od samego początku, na każdy przyjeżdżając z coraz większym dorobkiem. Wpierw jako luźna grupa, następnie członkowie klubu literackiego, by wreszcie od 5 lat reprezentować już własny oddział ZLP. Nic więc dziwnego, że wspomnianą przeze mnie satysfakcję, o podłożu nieco emocjonalnym, wyrażam właśnie z okazji zjazdu jubileuszowego.

Przechodzę teraz do zadanych mi przez Redakcję pytań. Nie chciałbym odpowiedzieć na nie wprost, ostatecznie okres dzielący zjazdy jest tak krótki, że trudno, przynajmniej w naszym przypadku, mówić o jakimś imponującym ilościowo dorobku. Poza tym nie sądzę, aby to było najważniejsze, wszelkie liczby w literaturze są najczęściej zwodnicze. Niekiedy jedna książka posiada znacznie większą wagę i wymowę. I choć ilościowo nasz dorobek jest niebagatelny (okres międzyzjazdowy dołożył kilka dalszych pozycji), na tę jedną książkę nadal jeszcze czekamy. Wydaje mi się, że pod tym względem nie różnimy się chyba od innych środowisk o znacznie większej tradycji.

Wpierw może nieco słów wyjaśnień. Utarło się powiedzenie, że zielonogórskie środowisko literackie należy do najmłodszych w kraju. Jest w tym sporo racji, jeśli uświadomimy sobie, że w grudniu ubiegłego roku zielonogórski oddział ZLP obchodził dopiero swe pięciolecie. Sądzę, że jest to okres zbyt krótki, by mierzyć i oceniać go ilością dzieł „na miarę", jeśli już nie epoki, to przynajmniej własnych ambicji. Jak do tej pory, literacki dorobek środowiska liczy kilkadziesiąt pozycji prozatorskich i poetyckich. Bardzo ciekawe i charakterystyczne (biorąc pod uwagę właśnie ostatnie edycje), bo określa w jakiś sposób kierunek rozwojowy, że część z nich to przede wszystkim debiuty prozatorskie. W ogóle wydaje mi się, że uzasadnione i aktualne swego czasu powiedzenie o zielonogórskiej „oazie poetyckiej", nie posiada obecnie racji bytu. Większość poetów zaczyna odchodzić od mowy wiązanej, próbując swych sił wpierw w krótkich formach prozatorskich, z kolei w powieści. Jak ocenia krytyka, są to próby na ogół udane. Obserwujemy również próby warsztatu dramaturgicznego. Jeszcze jeden chyba dowód, że środowisko jest w stadium permanentnego rozwoju, samookreślania się i szukania. Takie byłyby więc aktualne tendencje rozwojowe naszego środowiska w moim subiektywnym odczuciu, środowiska, które obecnie w dużym stopniu określa bardzo utalentowana młodzież literacka zdobywająca m. in. zaszczytne laury na wszelkiego rodzaju konkursach literackich. Jestem przekonany, że w niedługim czasie oddział nasz przekroczy „zakletą" od paru lat liczbę 18 członków i że na następnym zjeździe będzie można mówić o tym w czasie dokonanym.

Nie moja rzecza oceniać literacki dorobek moich kolegów, zrobiła to już krytyka krajowa, a ostatnio zaproszeni na nasz 5-letni jubileusz Zbigniew Bieńkowski, Henryk Bereza i Feliks Fornalczyk. Obszerne fragmenty wygłoszonych przez nich referatów publikował społeczno-kulturalny dwutygodnik „Nadodrze". (Tak, tak mała Zielona Góra posiada własne pismo kulturalne i to już od dziesięciu lat). Ocena ta wykazała, że powstająca na naszym terenie literatura, pozbawiona przede wszystkim wąsko pojmowanego regionalizmu, nie różni się niczym od utworów, których autorzy reprezentują inne regiony kraju, a pochodzą z tej samej generacji. Jeszcze jeden dowód na to, że literatura jest jedna.

Redakcja zapytuje, w jaki sposób twórczość zielonogórzan, jest związana ze współczesnością ziem zachodnich. Uważam, że bardzo mocno. Korzenie inspiracji artystycznej znajdującej wyraz w napisanych do tej pory przez moich kolegów książkach, tkwią głęboko w najbliższej im rzeczywistości. Przyczyna chyba prosta, sami przecież jesteśmy głęboko w niej osadzeni i to nie tylko prawem obywatelstwa. Nie są to jednak problemy owego wąsko pojmowanego na doraźny, okazjonalny użytek, regionalizmu. Aktualnym niejako tematem, nie sądzę, aby tylko u nas, to zagadnienia integracyjne, tak ważne w tym wielkim tyglu, jakim do niedawna były ziemie zachodnie. Sprawy te to temat niezliczonej liczby opowiadań i tych kilku napisanych przez naszych autorów powieści. W pewnym stopniu odnosi się to też do poezji, choć ta z reguły we właściwy sobie sposób rejestruje inną domenę ludzkiej wrażliwości. Ciekawe, że tematem nadal aktualnym pozostaje problematyka historyczna, jak sądzę reprezentowana w warsztacie literackim, nie tylko u nas. Okazuje się, że literatura tego typu jest nadal niezwykle popularna, a lokalna praktyka wskazuje również że bardzo potrzebna. Wspominam o tym na marginesie redakcyjnego pytania, aby unaocznić dość szeroki wachlarz literackich zainteresowań zielonogórzan, starających się w miarę sił być przydatnymi w pełni społecznie. Mimo że środowisko liczy dopiero kilka lat i wszystko wskazuje na to, iż jest nadal na literackim dorobku, swoim startem stanęło mocno w życiu kulturalnym kraju, a w swym regionie stanowi ważny element kulturalnej aktywizacji.

Wrzesień — Dni Chełma

Z okazji uroczystości, jakie co roku odbywają się w niedźwiedzim grodzie, publikujemy nadesłane nam wiersze poetów tworzących w Chełmie, mieście narodzin „Kameny".

MICHAŁ KORZAN

Przypowieści biblijne

I stanęło u wrót Pana Niebios
dwunastu wędrowców
Dwunastu wełnistogłowych Murzynów
A na ich ciałach widniały rany straszliwe
A w miejsce twarzy oraz kończyn
krwawiły im strzępy
Albowiem ci o których mowa
zostali psami poszczuci

I stanęło u wrót Edeńskich
dwunastu wędrowców
Dwunastu jastrzębiookich Beduinów
A na ich ciałach widniały rany straszliwe
A w miejsce twarzy oraz kończyn
mieli nagie kości
Albowiem ci o których mowa
zostali spaleni napalmem

I stanęło u wrót swego Pana
dwunastu wędrowców
Dwunastu Jego białych synów
o ciałach przeszytych kulami
i zatrutych gazem
A na ich twarzach widniał smutek
oraz boleść najgłębsza
Albowiem ci o których mowa
ukochali życie

I zapukało do Niebiańskich dźwierzy
po trzykroć dwunastu wędrowców
Wełnistogłowi Murzyni
Jastrzębioocy Beduini
Także ich biali bracia
Aliści Pan
Wielki Dobry Mocny
Stwórca Niebios i Ziemi
I Sprawca Wszechrzeczy
pozostał obojętny na pukanie synów

Zaś Święty Piotr — Furiyan
nie uchylił bramy
I nikt nie przywitał
strudzonych wędrowców

I wtedy
rzeczeni pielgrzymi
umarli
po raz wtóry

LONGIN JAN OKOŃ

Szpital

Tu smutek umierania mieszka
kornik bólu
drąży ludzkie przęsła
piłuje trybiki
pilnik cierpienia

Nadzieję
przełamuje zawieszony na oknie
zmierzch

W bieli skupiona twarz:
waga myśli mierzy leków ciężar

A później
anioły z obrazka
podają czarnoksięskie
krople

Walka trwa —
człowiek śmierć zwycięża.

CZESŁAW TWARDZIK

Podźwięk żniwny

Chlustał z siwego cebra
maj nadzieją i rosą,
skowronek ciurkiem srebrnym
słońce przelewał w kłosy.

A tu lipiec już biegnie
zgiętym łanom naprzeciw.
Kto wyżej, złociej i chlebniej
mrok zapola rozświeci.

Żniwa muzyczna czerwień
skrzydła przypina pieśni.
Pieśni, buntem poderwij
dalekie głodne pięści.

Niech bochen słońcem zagląda
do ludzkich garści co dzień.
Ziemio dobra i mądra,
podziel.

Fot. Andrzej Polakowski

Byłem „stonką"

(Dokończenie ze str. 1)

ba zapłacić co najmniej setkę, wieczorem bez „brudasa" nawet nie wchodź! Tylko milioner może wydać kilka tysięcy miesięcznie na jedzenie i zabawę. A gdzie ubranie, mieszkanie?

— Skąd „oni" mają pieniądze, żeby się codziennie bawić?

— Prawdę mówiąc nawet jak dostanie się kartę wstępu wstyd iść. Na każdym stole koniaki, winiaki, jarzębiaki...

— Wiadomo — „stonka"...

* * *

Targowica augustowska, schowana dyskretnie za domami, ożywia się dwa razy w tygodniu: we wtorki i piątki. W te dni zgodnie z odwieczną tradycją odbywają się tu targi. Ale tylko daty są tradycyjne, cała reszta nie ma nic wspólnego z targiem, jaki jeszcze pamiętają najstarsi mieszkańcy miasta.

Kiedyś gospodarna mieszczka szła na targ około południa. Zniecierpliwieni rolnicy w obawie, że powiozą z powrotem do domu swoje kury i jaja, woleli sprzedać taniej iż nie sprzedać wcale. A teraz...

Jeszcze furmanka nie dojechała do rynku, a już ją obskakuje kilka miejscowych gospos.

— Ma pan kury? Kurczęta? Jaja?

— Może ma pani cielęcinę? Ile? Całego cielaka?! Dawaj pani!

— Gęsi pani nie przywiozła? A indyki?

Te pierwsze kontrahentki nagabujące jadących na targ już przy wjeździe do miasta tragują się, ale umiarkowanie. Nie kupują dla siebie. Mają „letników". Wzięły z góry zapłatę za mieszkanie i utrzymanie, muszą więc ich wyżywić. Kiną czasem, gdy wygórowane ceny produktów obniżają ich zarobki, ale kupują. O nabyciu mięsa w sklepie i tak nie można marzyć. Zwłaszcza w takich ilościach, jakie są potrzebne do wyżywienia kilkunastu osób.

Fury, które dotarły na rynek, oblegane są natychmiast przez gromadki kobiet w spodniach i mini-spódniczkach. Miejscowe z trudem się wśród nich przepychają. A gdy nawet uda im się dojść do fury, odchodzą złe i rozżalone. Kobiety w spodniach i mini-spódniczkach nie targują się. Wynajęły mieszkania bez wyżywienia, muszą nakarmić rodzinę. Gotowanie wprawdzie obrzydza urlop, ale wypada taniej niż stołowanie się w restauracji. Nawet jeśli zapłacą za wszystkie tyle, co w Warszawie, Łodzi, Katowicach...

— Nie można się niczego dokupić — skarżą się miejscowe gospodynie, te nie mające letników, ale zmuszone do utrzymania rodziny za skromne mężowskie pobory.

— Kto to widział, żeby masło na rynku kosztowało tyle, co w sklepie?

— Wczoraj w Białymstoku płaciłam za kilo ogórków 2 złote, a u nas wciąż po 7...

— W Warszawie jabłka dawno już po pięć, a tu po dziesięć!

— Gdyby nie „stonka", u nas by się tak nie drożyli...

* * *

W sklepie spożywczym od rana milowa kolejka. Przywieźli chleb. Po południu już go nie będzie. Nie będzie też bułeczek, w których produkcji miejscowi piekarze doszli niemal do perfekcji. Kto się zagapi albo zniecierpliwiony kolejką wyjdzie ze sklepu — nie będzie jadł chleba, wędliny, sera... Turysta może pójść na kolację do „Domu Turystycznego", na śniadanie do „Ptysia". Stać go na to. Stały mieszkaniec nie widzi powodu, żeby jeść śniadanie poza domem i przepłacać. Więc stoi w kolejce i klnie na „stonkę" pocieszając się, że w ciągu pozostałych dziewięciu miesięcy w roku nie będzie musiał stać w kolejkach.

Bo w Augustowie jest dużo sklepów. Więcej niż w przeciętnym mieście powiatowym. Otwarto je z myślą o turystach, lecz czynne są cały rok. Przeciętny mieszkaniec Augustowa powinien to zapisać na zysk osiągnięty dzięki turystyce. Powinien, lecz o tym nie myśli.

Nie myśli też o tym, że przybywający do Augustowa wczasowicz jest takim samym statystycznym obywatelem PRL jak on: referentem, ekonomistą, księgowym, planistą. I zarabia tyle, ile płaci się referentowi, ekonomiście, księgowemu. Przeciętny augustowianin nie zastanawia się nad tym, że wczasowicz cały rok oszczędzał, by w lecie spędzić beztroski urlop. W ciągu dwóch tygodni wydaje tyle, ile w jego mieście musi starczyć na miesiąc albo i dłużej. Dwutygodniowi „milionerzy" podbijają ceny, wykupują żywność, okupują stoliki w restauracji i kawiarniach, bawią się. Przeciętny obywatel Augustowa, gdy pojedzie na urlop, robi to samo i nie uważa się wówczas za milionera. Nie myśli także, że i on bywa „stonką". Może mniej dokuczliwą, jeśli uda mu się trafić do miejscowości lepiej zaopatrzonej niż Augustów, ale przecież „stonką", zjadającą najlepsze owoce, wędliny, pieczywo.

Wieczne braki w zaopatrzeniu Augustowa w odpowiednią ilość podstawowych artykułów żywnościowych — oto drugie źródło konfliktu tubylec — „stonka".

* * *

Gdy Wicherek zapowiada słotę w Augustowie panuje radość. Przepowiednia może się nie spełnić, ale odstraszy część wczasowiczów, a już z pewnością „wodniaków" i innych trampów. Bo Augustów jest wczasowiskiem pod gołym niebem.

W trosce o zapewnienie pracy tutejszym mieszkańcom wybudowano tu spore zakłady przemysłowe: wielki tartak, przetwórnię tytoniu, fabrykę obuwia, zakład odzieżowy, POM. Rychło okazało się, że do zakładów tych potrzebni są fachowcy. Aby mieli gdzie mieszkać, budowano domy. Na podmiejskich łączkach rosną coraz to nowe bloki, w las wrzynają się wciąż nowe ulice. Wizja dużego miasta prze-

→

Z przyjaznego świata (3)

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Jeżeli był na świecie raj...

NA dworcu kolejowym w Suchumi powitał mnie sekretarz Abchaskiego Oddziału Związku Literatów, poeta Łomia Konstanty Szyrinowicz, i uprzejmie zawiózł własnym samochodem do komfortowego hotelu, który nazywa się tak, jak ten kraj: „Abchazja".

Najefektowniejsza część zaokrąglonej fasady gmachu hotelowego położona jest przy nadmorskim bulwarze, będącym osobliwą promenadą — wyłącznie dla pieszych. Skoro wyjdzie się z pokoju na szeroki, niemal okrężny taras, garną się do cię przyjaźnie niebiańsko-morskie lazury i seledyny, a wielkie palmy, rosnące tuż-tuż „na swobodzie", ofiarują swoje wytworne wachlarze. Wtedy najwłaściwszym słowem w ustach przyjezdnego staje się krótkie „Ach!"

Postanawiam z miejsca, że pierwszy mój suchumski dzień będzie wczasowo-relaksowy.

W gruncie rzeczy całe Suchumi to miasto-ogród, można się rozkosznie wałęsać jego ulicami zapominając o czasie wśród magnolii, wawrzynów, cedrów, oleandrów. Róże kwitną nawet w grudniu. Podobno, mówiąc językiem statystycznym, powierzchnia zieleńców wynosi tu ponad 760 hektarów. Ale najwymowniejszym akcentem subtropikalnym Suchumi jest słynny ogród botaniczny, gdzie spotykamy się rzec można z reprezentacją flory podzwrotnikowej dwudziestu pięciu krajów świata. Chlubą ogrodu są indyjskie i chińskie lotosy, aleja bambusów złocistych, Victoria regia, której liście o średnicy 2 m wytrzymują pięćdziesięciokilogramowy ładunek...

Na plażę komunalną jedzie się motorowym stateczkiem spacerowym za 5 kopiejek (75 groszy). Wstęp na plażę — 10 kop., kawa po turecku także, kto by się oparł jej pokusie, zwłaszcza gdy się przyjechało tylko popatrzeć na kąpiących się? Nie korzystając z dobrodziejstwa chłodzącej fali mogłam spojrzeć na wyposażenie plaży okiem krytycznym. Wydało mi się raczej skromne w zestawieniu z ogólną elegancją miasta. Szkoda też, że nasze złote bałtyckie piaski nie są artykułem eksportowym, wymieniłoby się ich trochę na słodkie abchaskie mandarynki.

Wieczór był uroczo beztroski. W tak zwanym Letnim Teatrze Abchaskiej Filharmonii występował właśnie Leningradzki Państwowy Zespół Cygański pod dyrekcją Małgorzaty Szumskiej. Przyznam się, iż nigdy dotąd nie zdarzyło mi się widzieć i słyszeć tak znakomitego cygańskiego zespołu. Były tu pewne reminiscencje hinduskie, nasuwało się więc wspomnienie o madraskim zespole amatorskim, który brał udział we wrocławskim Festiwalu Festiwali Teatrów Studenckich. Hindusi z Madrasu byli statycznie dostojni, Cyganie zaś nie tylko fascynują egzotyką narodową, ale i porywają niesamowitym temperamentem. Myślę, że zespołowi Szumskiej nie dorównaliby i dawni Cyganie, za którymi szalała rosyjska szlachta (pamiętacie „Żywego trupa" Tołstoja?). Leningradzki Zespół Państwowy zachwyca wysokim artyzmem, znać po nim naukę u najlepszych choreografów i pedagogów-wokalistów. Przyjemne wrażenie sprawia poza tym „dobry ton" w postawie.

* * *

Trudno sobie wyobrazić pobyt na „Gruzińskiej Riwierze" bez wycieczki nad jezioro Ricę. Wybieram się tam w towarzystwie literatki abchaskiej Guszy Papaskiri i jej dziesięcioletniego bratanka Ruslana. Pani Gusza pisze książki dla dzieci i młodzieży, ale rozmawiamy przeważnie na inne tematy, gdyż co do mnie jestem kompletnym laikiem w tej dziedzinie — nawet jako czytelnik. Pierwszą powieścią, którą przeczytałam w dzieciństwie, był „Doktor Pascal" Emila Zoli, w czym nikt mi nie przeszkodził, albowiem rodzice moi, słusznie czy niesłusznie, uważali, że nie zrozumiem tego, czego ośmioletnie dziecko rozumieć nie powinno. I pomyśleć, że taki brak metody nie miał jednak zbyt opłakanych rezultatów moralnych w moim pokoleniu!

Lecz wróćmy do teraźniejszości. A więc — klasyczna już Rica. Najpierw jechałyśmy, a właściwie jechaliśmy, bo końcówka czasownika powinna uwzględnić i małego Ruslanka, i Raufa Awidzbę, naszego dzielnego kierowcę, który miał pokonać około trzystu ostrych wiraży — otóż, mówię, jechaliśmy na początku gładką szosą Czarnomorską w kierunku Soczi, zamierzając dotrzeć tylko do Gagry. W planie za to był postój, bodaj krótki, w Achali-Afoni.

Nowy Afon. Nazwę nadali tej miejscowości w siedemdziesiątych latach zeszłego stulecia wychodźcy ze słynnego klasztoru w Grecji. W klasztorze tutejszym mieści się obecnie wielki dom wczasowy. Cerkiew z jej freskami, zamieniona w muzeum, jest pod troskliwą opieką konserwatorów.

Osłonięte od zimnych prądów powietrznych wysokimi górami Achali-Afoni zdobią wyniosłe stare cyprysy, intensywna zieleń plantacji mandarynkowych i cytrynowych, srebrzyste gaje oliwne. Po rewolucji stało się Afoni jednym z najbardziej popularnych uzdrowisk wybrzeża. Rekord jednak bije Gagra pod względem warunków klimatycznych i piękna krajobrazu. Jest to ponoć najbardziej nasłonecznony punkt na wschodnim brzegu Morza Czarnego. Nic też dziwnego, że wybudowano tu już ponad trzydzieści komfortowych sanatoriów. Gdybym nie była zdecydowanym trampem, wystarałabym się o „putiowkę" do jednego z nich, idąc za przykładem naszej Czajki, która sobie w ten sposób świetnie odpoczywała ze trzy tygodnie.

Słynne jezioro Rica, na wysokości 882 m nad poziomem morza, ma gdzieniegdzie 116 m głębokości — wiem, zanotowałam, a powierzchnię ma, jak to się potocznie mówi, „szmaragdową" — widziałam. Niemniej, prawdę powiedziawszy, nasze Morskie Oko nie ustąpi mu palmy pierwszeństwa w urodzie, chociażby dlatego, że groźne skały dają efekt bardziej romantyczny, niż oprawa z gór pokrytych lasami. Ale droga na Ricę jest fenomenalna, sensacyjna, jedyna w swoim rodzaju. Przy zasadzie nieużywania klaksonu niebezpieczeństwo czyhałoby na każdym zakręcie, gdyby nie zdumiewająca zręczność i doświadczenie tutejszych szoferów.

Skalisty wąwóz szalonej rzeki Bzybi, w którym nasza szosa pnie się stromymi serpentynami, wytrzymuje porównanie z turystycznym ciągiem Wojenno-Gruzińskiej drogi — Wąwozem Dariańskim. Niemałą atrakcją też jest Azykwa (Jezioro Błękitne). To maleństwo o średnicy zaledwie 25-metrowej budzi respekt swoją głębią sięgającą 70 m. A nie traci barwy, mówią ludzie, nawet w dni pochmurne, dzięki pokrywającej dno warstwie lazurytu — z czegoś takiego starożytni sporządzali farbę.

Wracając znad Ricy, skąd wypłoszyły nas gęste tłumy wycieczkowiczów (niedzielał), zatrzymaliśmy się na obiad przy niepozornej gospodzie, prosperującej jednak na skutek powiązań z państwową hodowlą pstrągów. „Forelie" z patelni, mamałyga, świeży ser suługun, młode wino, które Francuz nazwałby „le petit vin de la maison"?— spożyliśmy ten posiłek na wolnym powietrzu pod poczciwym cieniodajnym drzewkiem. Widziałam później niedaleko stamtąd restaurację pomysłowo zainstalowaną w pieczarze Eszery, ale dalibóg nie zamieniłabym

myslowego nie przestaje prześladować ludzi odpowiedzialnych za jego rozwój. Mówi się o turystyce, sporządza się wciąż nowe plany zagospodarowania terenów turystycznych, ale plany nie wchodzą w stadium realizacji.

Dotychczas nie wybudowano ani w mieście ani w okolicy chociażby jednego trwałego obiektu przeznaczonego dla turystów. Wyrosły tylko pseudocampingi, tj. zwarte obozowiska domków wybudowanych za pieniądze różnych przedsiębiorstw, które tu zlokalizowały ośrodki przeznaczone wyłącznie dla swoich pracowników. Poznać pana po chołewach. Biedne instytucje mają biedne ośrodki, bogaty „Żerań" ma piękny budynek nad samym Neckiem, ale prawdziwego campingu nie ma tu wcale. Jedyny dostępny obiekt z dachem — to wybudowany przed wojną Dom Turystyczny. I on wprawdzie zawsze jest zapełniony wczasowiczami, ale tu przynajmniej przez palce patrzy się na obecność osób postronnych. Inne ośrodki obwarowane płotami i bramami nie przyjmują obcych nawet na kawę i nawet w czasie ulewy.

Tak więc, gdy pada deszcz, „stonka" musi się zadowolić czterema metrami kwadratowymi domku, wypełnionymi niemal bez reszty przez łóżka, stół, taborety. Biada tym, którzy i takiego schronienia nie mając muszą tkwić w pozycji leżącej pod namiotem. Nic dziwnego, że zapowiedź dżdżystego lata witają augustowianie z radością. Będzie jaśniej na plaży, ciszej w lesie, spokojniej na wodzie.

Przywykli do względnej swobody nad Neckiem i Białym stali mieszkańcy Augustowa teraz niemal tam nie bywają. Kto ma łódkę z motorkiem — ucieka na Studzieniczne, kto dysponuje motocyklem lub innym środkiem lokomocji — nad jeszcze dalsze jeziora. Tam „stonka" jeszcze nie dotarła.

Uciekają jak najdalej od miasta zwłaszcza prawdziwi miłośnicy piękna, a tych w Augustowie nie brak. Jest wśród nich także wielu lokalnych patriotów w najlepszym znaczeniu tego terminu. Kochają swój region szczerze i gotowi wiele zrobić, by stał się sławny. Po to między innymi powołali Towarzystwo Miłośników Ziemi Augustowskiej. Piszą o pięknie swego regionu, o jego unikalnych cechach, o ludowych wyrobach i miejscach uświęconych krwią powstańców, partyzantów, bojowników o Polskę Ludową. Im więcej o tym się mówi, im bardziej sławny staje się Augustów, tym więcej przybywa tu ludzi. Zdarzają się wśród nich barbarzyńcy niszczący przyrodę. Niemal wszyscy przybysze są krzykliwi, znikają więc z okolic Augustowa ptaki. Tranzystorowe odbiorniki i motorowe łodzie wypędziły w dalekie ostępy dziką zwierzynę.

— Proszę pana, czy pan widział jak zaśmiecili całe Necko? Domek przy domku! A dawniej można było wyjść na brzeg, posiedzieć...

— Słyszał pan? Wycinają podobno las! I tak już wycięli spory szmat, żeby wybudować szpital, potem szkołę. Teraz podobno mają tam stawiać bloki...

— Był pan nad Białym? Tam już nie ma metra wolnego brzegu!

Oczywiście, jest w tym sporo przesady, ale i wiele racji. Przede wszystkim zaś w tych okrzykach oburzenia, którymi mnie witają zaprzyjaźnieni augustowianie ilekroć zjawię się w ich mieście, daje się odczuć działanie trzeciego konfliktu. Nazwałem go na własny użytek „konfliktem wewnętrznym". Polega on na tym, że każdy prawdziwy miłośnik Augustowa chciałby, by miasto to przewyższało sławą tak renomowane ośrodki, jak Zakopane czy Sopot, a zarazem aby nic tu nie zmieniono. Ani w mieście ani tym bardziej w najbliższej okolicy.

— Chcecie, żeby do was przyjeżdżały duchy? — mówię trochę złośliwie. — Istoty, które nie jedzą, nie muszą mieć dachu nad głową, nie depczą trawy, za to wieczorami uprawiają nad jeziorami łagodne, gregoriańskie pienia?

Mówiąc to wiem, że postępuje nie fair. Wiem jednak również, że jest to jedyny sposób, by skłonić rozmówców do powiedzenia tego, czego zwykle nie mówi się „stonce": prawd należących do gatunku wstydliwych.

* * *

W Augustowie z roku na rok rośnie liczba przestępstw i wykroczeń. Dowiaduję się o tym od znajomych poirytowanych moimi uwagami o duchach, potwierdzają to tzw. kompetentne czynniki. Nad zagadnieniami przestępczości i środkami zaradczymi obraduje od czasu do czasu Egzekutywa KP PZPR, debatuje się o tym na posiedzeniach rad narodowych.

— Oczywiście, najwięcej przestępstw zdarza się w sezonie turystycznym — informuje mnie jeden z ojców powiatu — Ale nie piszcie o tym. Po co straszyć ludzi? Wzmacniamy na lato kadrę naszej milicji, mobilizujemy ORMO. Mimo to wciąż są kradzieże, napady, włamania. Od czasu do czasu zdarza się nawet bandycki napad.

Miejscowi działacze główne źródła zła widzą w autostopie, a właściwie w pseudoautostopie. Jazda na gapę miała ułatwić masową turystykę. Ułatwiła także masowe przenoszenie się z miejsca na miejsce mętów społecznych. Przybywający na gościnne występy złodzieje szukają w mieście oparcia. Szybko je znajdują wśród młodych, którym kością w gardle stoją rodzicielskie narzekania na brak pieniędzy.

Gdy wczesne w tych stronach chłody i jesienne deszcze przepędzą wczasowiczów, oni okupują stoliki w „Albatrosie". Piją „czystą" i zapijają oranżadą, ale bawią się. Jednocześnie nie zaniedbują okazji do zarobku. Pilnie obserwują obcych. Łatwo poznać, że przybyli tu z delegacjami w kieszeni. Łatwo też poznać, który z nich ma pieniądze. Wyszkolone w czasie letnich miesięcy dziewczęta przysiadają się do „delegatów", naciągają ich na drobne poczęstunki, pozwalają się przyciskać w tańcu i niedwuznacznie obiecują swoje względy po wyjściu z restauracji.

A w okolicy cmentarza, w pobliżu rojnej w lecie a teraz pustej plaży, czekają już na amatora łatwych sukcesów koledzy dziewczyny. Utrata portfela, zagarka, obrączki — to najniższa cena, jaką się płaci za takie spotkanie.

Co jakiś czas odbywają się w Augustowie procesy młodocianych przestępców. Przysłuchują się im młodzi. Jednych to odstrasza, innym łagodne stosunkowo wyroki, jakie można wymierzyć młodocianym, każą się zastanowić: a może warto spróbować? Ryzyko wprawdzie jest, ale jeśli się uda, można fundować, stawiać koniak w „Ptysiu", żyć jak „stonka".

Pokazowe procesy, pogadanki wygłaszane w szkołach i zakładach pracy przez funkcjonariuszy milicji i prokuratorów, odczyty wygłaszane przez prelegentów TWP — wszystko to z pewnością w jakiś sposób hamuje rozwój przestępczości. Jednocześnie jednak miasto rośnie, przybywa młodzieży, wzrasta liczba zasobnych turystów. Wydaje się, że całkowite wyeliminowanie przestępczości jest niemożliwe. Pokusa „łatwego" zarobku wciąż jeszcze jest zbyt silna, a środki oddziaływania — za słabe.

— Myślę, że dałoby się wiele zrobić, gdyby były w mieście jakieś ośrodki kulturalne. Młodzieży trzeba dać rozrywkę, zwłaszcza w zimie — mówię nieco mentorskim tonem słysząc biadania augustowian.

I natychmiast dostaję po nosie. Okazuje się, że jedna z nielicznych w tym mieście placówek kulturalnych była przez dłuższy czas wykorzystywana jako punkt zborny młodocianych przestępców. Siedzieli tu grzecznie do dziesiątej, grali w domino i warcaby, a potem włamywali się do kiosków. Może to wyjątek nie podważający reguły, ale przyznaję, iż wiadomość ta trochę załamała we mnie wiarę w skuteczność oddziaływania placówek kulturalnych.

* * *

Podsumowania nie będzie choć winien go dokonać każdy szanujący się reporter. Przypominam jednak, że nie odwiedzam Augustowa jako reporter. Byłem tam „stonką".

Ryszard Kraśko

---

sielankowego prymitywu naszej knajpki na tamto rendez-vous turystów.

Nazajutrz miła pani Gusza ułożyła dla mnie program najzupełniej niebanalny. Miałam zobaczyć, co ludzie radzieccy zrobili z malarycznymi mokradłami prastarej Kolchidy.

Wymowny, często cytowany, opis stosunkowo niedawnego jeszcze stanu tych okolic można znaleźć w „Kolchidzie" Paustowskiego. Najbardziej zabagnioną częścią kolchidzkiej niziny były tereny przy ujściach Supsy, Rioni, Inguri. *„Kraj był płaski jak arkusz papieru"* — pisze Konstanty Paustowski — *„i nie więcej jak by arkusz papieru wystawał nad powierzchnią morza. Łagodne rzeki nie miały dość mocy, by wynieść wodę w morze"*. Przypływ stawiał im gwałtowny opór. *„Rzeki wolno zawracały i długo płynęły wzdłuż brzegu szukając spokojnej zatoki"*. Nad bagnami unosiły się chmary komarów, zarośla olszyny, przeplatanej kolczastymi pnączami, były swoistą dżunglą. Dziś, po czterdziestu latach odwadniania, nizina kolchidzka jest podzwrotnikowym eldorado. W ogrodach osadników, którzy zeszli tu z gór, rosną drzewa cytrusowe, dziesiątki tysięcy hektarów obsiewa się pszenicą i kukurydzą, bogactwa przysparzają wielohektarowe plantacje herbaty i tungu, egzotycznego drzewa dającego cenne oleje przydatne na wysokogatunkowe smary.

Ktoś, kto nałogowo zapija się herbatą, reaguje na widok ogromnych zagonów tej narkotycznej rośliny — emocjonalnie. Cóż dopiero, gdy dorwiesz się, człowieku, do własnoręcznego zbierania najmłodszych, bladozielonych listków! Uzbierałam, przy aktywnej pomocy Guszy Papaskiri, sporą torebkę, wyschło to potem w hotelu i wagonie na prawie 50 g „gruzińskiego czaju" I gatunku, Atoli dwóch niewielkich chłopców z koszykami, którzy jeszcze się kręcili po plantacji, mimo pory obiadowej, przyglądało się nam z niewinnym krytycyzmem. Oni zarabiają na zbieraniu herbaty ze 4 ruble dziennie, a jak dobrze się uwiną, to i do sześciu. Taki chłopaczek wiejski ma po wakacjach na nowe ubranie i buty.

Szczytem przyjemności była tego dnia wizyta u rodziny pani Guszy, we wsi Kutoł, w okolicy rzeki Kodori, którą Gorki opisał w opowiadaniu „Narodziny człowieka".

Na progu schludnego domu powitała mnie serdecznym uściskiem gospodyni, szwagierka pani Guszy Papaskiri, młoda, urodziwa Abchaz ka. Mała Ludmiła, siostrzyczka towarzyszącego nam Rusłana (ależ poetyckie imiona!), nie posiadała się z radości. Póki kobiety gotowały obiad — świąteczny dla uczczenia gości, gawędziłam na ganku z naszym kierowcą, tym razem studentem IV roku Politechniki Tbilisskiej, który zarabia „szoferowaniem" w suchumskim Inturiście — na spółdzielcze mieszkanie.

Wkrótce przyszedł z pola kołchozowego, ze zbioru kukurydzy, sam gospodarz, starszy brat pisarki, przystojny mężczyzna w sile wieku. Jako tomada, czyli ten, co przewodniczy przy stole biesiadnym, zainicjował on podczas obiadu cały cykl toastów. Życzono mi przede wszystkim „abchaskiego długolecia". Sprecyzujmy: sąsiadka gościnnych gospodarzy, 130-letnia Łasuria Chfaf, śpiewa, tańczy i pracuje do dziś dnia na plantacji herbaty...

* * *

(Dokończenie na str. 11)

Współczesna poezja białoruska

w przekładach Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

OBECNY dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" w miarę możliwości stara się kontynuować tradycje przedwojennego chełmskiego miesięcznika, zwłaszcza jeśli chodzi o przekłady z literatur słowiańskich.

Stosunkowo najmniej uwzględnialiśmy twórczość naszych bezpośrednich sąsiadów od wschodu — Białorusinów.

A jednak „Kamena" i lwowskie „Sygnały" to były jedyne przedwojenne pisma polskie, które zwróciły uwagę na młodą literaturę białoruską. J. Putrament zamieścił w „Sygnałach" entuzjastyczny artykuł o Maksimie Tanku. Ostatni numer lwowskiego miesięcznika, który ukazał się na krótko przed wybuchem wojny, był w całości poświęcony kulturze i literaturze białoruskiej. „Kamena" pozostawała w kontakcie z wychodzącymi w Wilnie czasopismami: „Kłosy" i „Młoda Białoruś", wymieniała z nimi egzemplarze. Poeci: M. Tank, M. Maszara, N. Arsienniewa i in. nadsyłali swe zbiorki. W „Kamenie" w r 1938 i 1939 ukazało się kilka przekładów wierszy Tanka i Maszary. Był projekt wydania specjalnego białoruskiego numeru „Kameny" (na wzór wydanych uprzednio zeszytów słowackiego, bułgarskiego i Puszkinowskiego), ale wybuch wojny uniemożliwił doprowadzenie do skutku tego zamiaru. W czasie okupacji autor załączonych niżej tłumaczeń przełożył poemat M. Tanka „Kalinowski" poświęcony białoruskiemu bohaterowi powstania styczniowego, który został stracony przez władze carskie. Utwór ten zamieściła „Twórczość".

W tym co powiedział M. Tank redaktorowi „Kameny" (M. A. Jaworski „Optymizm i niepokój" nr 15), jest trochę prawdy, choć przesadził twierdząc: „Czasem odnoszę wrażenie, że wy więcej w Polsce wiecie o pisarzach syberyjskich niż o tych, którzy tworzą przez miedzę". Że tak już źle nie jest, świadczy antologia poezji radzieckiej z przekładami kilku najwybitniejszych poetów białoruskich, tomiki J. Kupały i M. Tanka wydane przez PIW i rzadkie co prawda jakieś tłumaczenia w czasopismach.

A „Kamena" postara się w przyszłości w szerszym niż dotychczas stopniu zamieszczać utwory z literatury białoruskiej. Konieczna jest stała wymiana organów literackich, jak to było przed wojną. Pożądane byłoby, również w drodze wymiany materiałów, zamieszczanie w lubelskiej „Kamenie" i mińskim „Płomieniu" wyboru przekładów z obu czasopism.

MAKSIM TANK

* * *

Z amfory tej dawno
sok winny wypili goście.
Potem
po pijanemu ją strzaskali,
a Penelope
wymiotła wszystkie skorupki
za próg.

Cudem
jedna ocalała,
a na niej —
cień grajka
z pastuszą fujarką.
I poprzez wieki
słyszymy „Odyseję".

* * *

Próg,
wyciosany ze wspomnień
został za mną;
drzwi
na zawiasach pieśni świerszcza
zostały za mną;
dach
pokryty skrzydłami jaskółek
został za mną;
jakże się nie obejrzeć,
choćbym nawet miał się
zamienić w słup soli?

MAKSIM TANK (Eugeniusz Skórko) ur. w r. 1912. Jeden z najbardziej znanych w Polsce poetów białoruskich, tłumaczony i drukowany jeszcze przed wojną w „Kamenie" i „Sygnałach". Za działalność komunistyczną więziony w Łukiszkach. Piewca „Naroczy" (piękny poemat pod tym tytułem, 1937). Najwcześniejsze zbiorki „Na etapach" (1937), „Kwiat żurawinowy" (1937) i „Pod masztem" (1939) wyszły w Wilnie. Autor ok. 30 książek poetyckich. Redaktor naczelny miesięcznika literackiego „Połymia" (Mińsk).

ARKADIUSZ KULASZOW

* * *

Od dawna obrus już zimowy
Zmurszał nad jodłą i nad sosną,
A las wciąż milczy. Jak bez mowy
Nazywać może wiosnę wiosną?

I oto pierwsze już wyznanie:
W gąszczu, gdzie dotąd trwała głusza,
Przylotnych gości powitanie
Drzemiący dom ze snu porusza.

Ach, dźwięczniej, głośniej! W niebie sinym
Przy wodzie, co się już kołysze,
Jesionom jasnym i osinom
Stugłosy śpiew przerywa ciszę.

I zasłuchano się w gęstwinie,
Jakby słyszano po raz pierwszy
Ten gwar, co poprzez knieję płynie
Wciąż coraz dalszy, coraz szerszy.

Do życia budzi świat kukanie,
Które na północ zimę żenie,
I odpowiadam pieśnią na nie
I gwałcę z ptactwem wraz milczenie.

ARKADIUSZ KULASZOW ur. 1914. Studiował na wydziale literackim Mińskiego Instytutu Pedagogicznego im. M. Gorkiego. Debiutował zbiorkiem „Rozkwit ziemi" (1936). Od tego czasu ukazały się liczne jego zbiorki, m. in. „Mieszkamy na granicy", „W zielonej dąbrowie", „Człowiek dobry". W czasie wojny Kulaszow pracował w prasie wojskowej.

SERGIUSZ DZIARGAJ

W rzeczywistości

Łza zawsze jest gorzka,
A pot jest słony,
A krew — czerwona
I smutek — czarny.

Bywają wprawdzie łzy szczęścia
I w łzach tych — słodycz...
Ale czyż to są łzy w istocie?
Wilgoć!
Bzdury!

Bywa jeszcze pot zimny,
Pot tchórzy,
Pot strachu...
Ale czyż on pokryje koszulę
Srebrem soli?

Jest krew błękitna,
Płód chorej wyobraźni
Zgniłych arystokratów...

Nic tu nie powiesz,
Nic nie dodasz.

I smutek bywa małostkowy
Jak makowe ziarenko,
Nieważny i nieważki
Jak biały puch topoli
I pusty i chwilowy
Jak dżdżu warkocze w lecie.

Ale to wszystko nie to,
Bo w rzeczywistości:
Łza zawsze jest gorzka
A pot jest słony,
A krew — czerwona
I smutek — czarny.

SERGIUSZ DZIARGAJ ur. 1907 r. w Mińsku. Po ukończeniu kursów ogólnokształcących w r. 1927 pracował jako korektor w redakcji dziennika „Gwiazda". W czasie wojny brał udział w partyzantce. Autor poematu z życia Puszkina, zbiorków „Oczyma przyszłości", „Krzemień o krzemień" i in. Tłumacz poezji rosyjskiej, ukraińskiej, polskiej i niemieckiej.

DANUTA BICZEL-ZAGNIETAWA

* * *

Jeziora jasna gładź w lipcowym skwarze,
Na słońcu w wodzie grzeją się jazgarze,
A myśmy
Wśród drżących trzcin schowani,
A myśmy
Znów w sobie wzajem zakochani.
Wietrzyk się dostał
Do niewoli sosen;
I pszczoły
Do pasiek wcale się nie śpieszą;
I cały świat wypełnia cisza święta.
Tyś mi powiedział...
A co?
Nie pamiętam...

* * *

Czy to cię Krasula
Ukłuła swym rogiem?
Czy jaka ślicznotka
Przeszła ci przez drogę?
Czyś do domu jechał
Osiodławszy echo
I w lesie wietrzysko
Śmiech otrząsło wszystek?
Może brnąłeś poprzez brody
I nabrałeś w usta wody.
Bo jak siadłeś na tym ganku
Ciągle milczysz aż do ranka?

DANUTA BICZEL-ZAGNIETAWA ur. w r. 1938. Ukończyła Instytut Pedagogiczny w Grodnie. Poetka najmłodszej generacji, autorka zbiorków „Dziewczęce serce", „Idzie Niemen".

Sport to nie tabu

JERZY DOSTATNI

NAWET Putrament wielce się rozsierdził i zamieścił w „Życiu Warszawy" sążniste antysprawozdanie z kanadyjskiej antytransmisji telewizyjnej z meczu lekkoatletycznego Europa — Ameryka. To, co nam pokazano z Montrealu, było niewątpliwie złe. Ale czy to, co daje nasza własna telewizja, co czytamy w naszych własnych gazetach, co słyszymy w naszych sprawozdaniach radiowych, czy to wszystko — myślę oczywiście o zawodach sportowych — daje nam prawdziwy i pełny obraz zmagań na boisku, w hali, na basenie?

W olbrzymiej, przytłaczającej większości sprawozdania sportowe obracają się wokół wyników. Późniejsze komentarze nicują tabelę, przeliczają punkty według wszelkich działań arytmetycznych. Oczywiście centymetr i sekunda są jakimś wspólnym miernikiem, bez którego obejść się nie można — chociaż marginesowo należałoby zapytać, dlaczego czas w biegach mierzy się już od lat z dokładnością do dziesiątej części sekundy, a w odległościach nie uznaje się milimetrów. Ale czy sport, prawdziwy sport, to tylko czas, odległość, ciężar, nokautujące uderzenie?

Niestety, takie odnosi się wrażenie, czytając, słuchając lub oglądając sprawozdanie sportowe. Oto właśnie zakończyła się w Chorzowie czterodniowa batalia — jak to nazwali imprezę dziennikarze sportowi — o tytuły mistrzów IV Centralnej Spartakiady i mistrzów Polski w lekkiej atletyce. Półgębkiem niektórzy pisali, że jest to zarazem początek ostatniego roku przedolimpijskiego, co zdawało się sugerować, że impreza posiada wyjątkowe znaczenie.

Tymczasem w czasie trwania Spartakiady w prasie lubelskiej mogliśmy przeczytać tylko suche, ograniczone do minimum wyniki, a wśród mistrzów i wicemistrzów nie znaleźliśmy ani jednego zawodnika lub zawodniczki lubelskiej. Cały zaś komentarz w „Sztandarze Ludu" (dwa dni po zakończeniu Spartakiady) ograniczył się dosłownie do 11 wierszy druku. Sugerowano nam „duże brawa dla lubelskich lekkoatletów", chociaż wśród 21 ekip zajęli dopiero 11 miejsce. Wprawdzie lubelscy zawodnicy ustanowili „aż" 4 rekordy okręgu, ale przecież żaden z nich, tak jak żaden z innych rekordów okręgu, nie jest rekordem Polski. Nie pokazano żadnej sylwetki zawodnika, nie pokazano walki, jaką toczono na bieżniach, rzutniach i skoczniach, nie zanalizowano pracy żadnego trenera, nie przekazano ani miodnego smaku zwycięstwa ani gorzkiego ziarna klęski. Jedynym zadowolonym był chyba tylko autor.

W lipcu „Kierunki" zamieściły artykuł Karola Pastuszewskiego „Kalosz". Był to swego rodzaju traktat o naszej prasie sportowej, traktat słusznie surowy i pełen pretensji, całkowicie adekwatny także do działów sportowych gazet codziennych. Niestety, nie rozpętał dyskusji.

Mamy zresztą w tej mierze analogiczne doświadczenia. Półtora roku temu wydrukowaliśmy artykuł R. Wiśniewskiego „Lublin gola". Ujawniliśmy szereg przykrych, niekiedy kompromitujących faktów, postawiliśmy kilka pytań. Nikt ze wskazanych palcem, nikt z tych, którzy za owe fakty byli odpowiedzialni, nikt z kierujących tą dziedziną sportu nie odpowiedział ani słowem. Brak sprostowań pozwala przypuszczać, że wszystkie kompromitujące zarzuty odpowiadały prawdzie. A jeżeli były prawdziwe, to zarządy klubów, związków czy WKKFiT powinny były zareagować. Stało się jednak inaczej.

W końcu czerwca opublikowałem w „Kamenie" długi artykuł: „Mistrz pięści i pięść mistrza". Chociaż nie ujawniłem nazwiska „bohatera" każdy kibic wiedział, o kim była mowa. Podane fakty obciążały nie tylko zawodnika, ale również jego klub i władze sportowe — Lubelski Okręgowy Związek Bokserski oraz WKKFiT. I znowu — poza czytelnikami nikt z przedstawicieli tych władz nie zareagował. Przynajmniej oficjalnie — bo po kątach psioczono na autora, zarzucano mu złą wolę i nieuctwo, bo rzeczywiście bardzo rzadko chodzi na mecze bokserskie, a jeszcze nigdy ani nie rzucił butelki na ring, ani nie zapisał się na członka wspomagającego jakiś klub... Tylko Jerzy Zmarzlik w „Przeglądzie Sportowym" przytoczył obszerne wyjątki z „Mistrza" i postawił kilka dodatkowych pytań, na które też pewnie od nikogo nie otrzyma odpowiedzi.

A ja tymczasem nie rozumiem, dlaczego — przynajmniej w pojęciu olbrzymiej większości działaczy, oficjeli i zawodników — nie powinno się pisać o złych rzeczach, które dzieją się w sporcie lub za jego kulisami? Niemal w każdym numerze każdego szanującego się pisma jest artykuł krytyczny o niedomaganiach, bałaganie lub wręcz szkodliwej działalności — w przemyśle, handlu, gastronomii, kulturze. Publikuje się fakty, daty, liczby, nazwiska. Pokazuje się niedołęgów, ujawnia kliki. I tak samo — obok sprawozdań z wykonania planów — pokazuje się metody walki o lepsze wyniki, o większą gospodarność, o lepsze stosunki międzyludzkie w zakładach pracy. Dlaczego tak samo nie ma się postępować w dziedzinie sportu? Kto i dlaczego ustanowił tu jakieś tabu, którego nie powinno się naruszać w imię rzekomo „wyższych celów"?

Dlaczego związki sportowe czy kluby tylko w najbardziej drastycznych przypadkach publikują komunikaty, zresztą z zasady tak enigmatyczne, że nie wtajemniczony dalej nic nie wie? W posiedzeniach samorządów robotniczych mogą brać i biorą nieraz udział nawet ludzie nie zatrudnieni w danym zakładzie pracy. W plenach komitetów partyjnych wszystkich szczebli, nie wyłączając Komitetu Centralnego, aktywnie uczestniczą bezpartyjni. Dlaczego w sporcie wszystko, co nieprzyjemne, chowa się pod korcem, omawia przy drzwiach zamkniętych w gronie zaufanych ludzi?

Głośna była swego czasu w Lublinie sprawa piłkarza, który zresztą tylko względnie dobrze kopał piłkę. Ale bardzo dobrze dbał o swoje interesy, zjawiając się w zakładzie pracy, w którym rzekomo pracował, tylko raz w miesiącu — po pensję. Bomba wybuchła, gdy pewnego razu nie przyszedł, lecz zadzwonił do kasjerki, aby mu te pobory przyniosła do knajpy, w której nie odmawiał odnowienia starej znajomości z wyrobami PMS. Nawet dyrektor, przysięgły kibic, zdenerwował się i piłkarza zwolnił z pracy, na czym zresztą ukarany nie stracił, bo wkrótce przeniósł się do innego miasta, gdzie uzyskał wyższe stanowisko — przepraszam: lepszą pozycję w składzie drużyny.

Miejscowa prasa pokwitowała całą rzecz tylko kilkuwierszową notatką, w której nie było ani słowa o podszewce całej sprawy a raczej żal, że „as" opuścił miasto. Zresztą tak dzieje się nie tylko w Lublinie. Do bardzo nielicznych wyjątków należy „Stadion", dodatek sportowy „Nowin Rzeszowskich", który ujawnia wiele spraw w stałej rubryce „Starty i falstarty". I chociaż autor tej rubryki nie ma najłatwiejszego życia, to przecież głowy nikt mu nie urwał. Dlaczego jednak ma tak mało naśladowców wśród kolegów po piórze?

Fot. Andrzej Polakowski

W prasie, radio i telewizji spuszczono zasłonę na to wszystko, co dzieje się w sporcie poza wynikami. Jeden tylko Bohdan Tomaszewski w „Kulturze" patrzy na sport inaczej, szukając w nim objawów walki człowieka z samym sobą, zmagań z przeciwnikiem, przekształcając zawody sportowe w jakiś niemal poetycki festiwal sprawności fizycznej i etyki ludzkiej. Zresztą nie zawsze z powodzeniem, ale to już nie jego wina. A normalnie gorzej, bo nie tylko spuszczono zasłonę, ale i potrafiono skutecznie wmówić widzowi, że zawody sportowe są przede wszystkim widowiskiem. Rzecz polega tylko na tym, aby zapłacił za bilet wejścia. W komunikatach przed zawodami zapowiada się bardzo często udział najlepszych zawodników, chociaż każdy z organizatorów wie dobrze, że mgliste zapowiedzi, a nieraz tylko brak odmowy mistrza oznacza, że po prostu nie przyjedzie. Innym razem to widowisko przekształca się w irytację, gdy z braku zawodnika wystawia się byle kogo, aby tylko zdobył jeden — ostatni — punkt za czwarte miejsce, chociażby owe 5 czy 10 km przeszedł w spacerowym tempie. Zapowiada się przyjazd drużyny piłkarskiej I ligi, wiedząc, że przyjadą dalsze rezerwy, okraszone jednym czy drugim blaknącym już nazwiskiem, którego właściciel potraktował rzecz całą jako wycieczkę turystyczną. Z zapowiadanego widowiska robi się kicz, ale nic jakoś nie słychać aby ktoś za to odpowiadał. Widza zaś kusi się następną imprezą.

Tymczasem zawody sportowe dawno już przestały być tylko widowiskiem. W coraz większym stopniu stają się atutem propagandowym z zakresu polityki. Zarówno w skali powiatu jak i województwa, na arenie krajowej i międzynarodowej. Trzeba z przykrością przyznać, że pierwsi zrozumieli to hitlerowcy, robiąc zresztą z olimpiady berlińskiej nie manifestację, a hecę propagandową. Ale czy później nie wyzyskali tych propagandowych atutów Australijczycy, Włosi i Japończycy, czy nie zrobią tego Francuzi i Meksykanie? Świetnie zbudowany i odżywiony, zawsze uśmiechnięty Don Schollander stał się przecież doskonałą reklamą „american way of life". Rozliczne sukcesy wielu sportowców radzieckich budzą w całym świecie niewiele mniejsze zainteresowanie niż kolejne

(Dokończenie na str. 11)

JAN LOHMANN

Zwycięstwo

leżysz przy mnie
we mchu

odkąd opuściła mnie odwaga
jesteś jedynym mym
zwycięstwem

za oknem deszcz ołowiu chmura
klakson krzyk ptaka śmierć

jesteś szepczącym liściem
kiedy się poruszysz

promieniem ciszy
twoje włosy rozsypują mi się
w dłoni jak piasek

twoje piersi nabrzmiały słońcem
chłodne źródło do którego
przychodzą zwierzęta twoje usta

leżymy smutni wszystko milczy
stała się rzecz olbrzymia

Kraków

MIROSŁAW GRONOWSKI

✤ ✤ ✤

ten okręt nie zawsze
widzi światła portu

czasami
morze niedoszłe słońcu
każe
znaleźć drogę w tamtą stronę
kolory mijają
przychodzą za późno
to wtedy
gdy woda dotyka
tak łatwo zapamiętać
zielone z błyskami granatu

czasami wracać
to trudniej
niż odczytać pismo dziecka
na piasku

ono ryzuje pamięć na burtach
i skłonem głowy
przyjmuje każdego z nas

✤ ✤ ✤

odwróciłem wodę
jej dno
było brudne jak oczy kominiarza
ta woda
nie była już sobą
nie zostało nic z zieloności
z pozłoty ryb ruchomych
z ufryzowania szuwarów
nie przestała tylko płynąć
dnem rzeki
głucha i nieżywa

Warszawa

Człowiek bez mitów

(Dokończenie ze str. 1)

niej z „podniesioną głową" i z poczuciem własnej wyższości, choć okupionym cierpieniem.

Dążenie do niesienia pomocy, tak silne w odniesieniu do obcych ludzi, ujawnia się również wobec własnej rodziny. Wysyła starszą siostrę, Bronię, do Paryża na studia i utrzymuje ją z połowy swojej nędznej pensji guwernanckiej. Jednocześnie pomaga jakimś cudownym sposobem ojcu, siostrze Heli i bratu Józiowi.

Ale oto karta się odwraca. Szlachetny uczynek wobec Broni owocuje: Maria jedzie do Paryża na studia. Nie, odtąd nie zaczyna się sielanka. Przeraźliwa nędza, ustawiczny głód, omdlenia... I mimo to — olśniewające sukcesy na studiach.

A potem — miłość. Szczęście znalezienia wymarzonego towarzysza życia, wspólne z Piotrem Curie rozpaczliwe i bohaterskie poszukiwania zakończone epokowym odkryciem pierwiastków promieniotwórczych, wspólne sięgnięcie po najwyższe laury — i przeraźliwa klęska życiowa: tragiczna śmierć Piotra pod kołami furgonu.

Hojnie obdarzyło życie Marię klęskami i triumfami. Jak wytrawny rzeźbiarz wybiera najlepszy marmur z pożądaną siatką żył, by wykuć z niego arcydzieło, tak życie wybrało psychofizyczny organizm Marii z jej niezwykłymi uzdolnieniami intelektualnymi i moralnymi, by ukształtować poprzez cierpienia i radości — **człowieka.**

W jej osobowości skupiają się, jak w promiennym ognisku, najpiękniejsze a zarazem pozornie przeciwstawne, cechy moralne.

Skromność, niemal bojaźliwość w liczniejszym towarzystwie lub w kręgu olbrzymich rzesz słuchaczy — i odwaga myślenia bez przesądów, odrzucania dogmatów, wolnomyślicielstwa: postanawia nie chrzcić dzieci i nie wychowywać ich w mitologicznym szablonie żadnej religii, by mogły samodzielnie poszukiwać prawdy o świecie i życiu.

Jest opanowana myślą o samodoskonaleniu: nie tylko gorączkowo zdobywa wiedzę z zadziwiającymi wynikami (dwukrotna nagroda Nobla: z fizyki i z chemii), ale stawia sobie wysokie wymagania moralne, oceniając każdy własny krok. A jednocześnie niepowstrzymanie porywają ją ideały społeczne. Nieprzeparta dążność do niesienia pomocy innym ludziom, ujawniająca się już we wczesnej młodości, nie ustaje, a chyba jeszcze bardziej się nasila w okresie jej światowej sławy.

W okresie I wojny światowej dniami i nocami rozjeżdża — nieraz wśród ulewy i zawiei śnieżnych — po całym froncie, organizując setki stacji rentgenologicznych, i osobiście poddaje prześwietleniu tysiące rannych. Gdy Liga Narodów powołuje ją na wiceprzewodniczącą Międzynarodowej Komisji Współpracy Naukowej (komisji, w której zasiadają tacy wielcy myśliciele i uczeni jak Bergson i Einstein), Maria opracowuje projekt Międzynarodowego Funduszu Pomocy Studentom i Młodym Naukowcom. Naczelne cele jej programu: kultura międzynarodowa (przy zachowaniu ojczystych kultur), wolność myśli, i pacyfizm.

Jest wielką patriotką, potężnymi, bolesnymi więzami złączoną z cierpiącą pod zaborami Polską. W okresie rewolucji 1905 r. całym sercem jest z rewolucjonistami polskimi i przesyła szwagrowi w Polsce swe z trudem zaoszczędzone pieniądze na poparcie rewolucji. Już w roku 1911 opracowuje projekt Instytutu Radowego w Warszawie, a po odrodzeniu Polski oddaje wszystkie swoje siły na to, by zdobyć dla Polski rad wartości miliona franków. Nie jest jednak szowinistką, nie łączy głębokiej miłości własnego kraju z nienawiścią czy pogardą wobec innych krajów, innych narodów. Potrafi spłacić dług wdzięczności i Francji, ratując od śmierci wielu jej synów w czasie I wojny światowej i wyjednując (dla niej również) rad w Stanach Zjednoczonych.

Jej bezinteresowność i niezależność moralna zadziwiają i wzruszają. Uzyskane w okresie studiów bezzwrotne stypendium zwraca po kilku latach — ku zdumieniu sekretarza Fundacji Aleksandrowicza. W 1903 r. — wraz z Piotrem — odrzuca propozycję opatentowania odkrycia radu, którego promieniowanie leczy raka — czyli odrzuca miliardowy majątek; bezinteresownie oddaje rad do nieskrępowanego korzystania całej ludzkości. Po śmierci Piotra odrzuca ofiarowaną przez rząd francuski rentę honorową. Dwukrotnie odmawia przyjęcia Krzyża Rycerskiego Legii Honorowej — dla zademonstrowania fałszywej polityki władz, rozdających odznaczenia, a nie troszczących się o urządzenie laboratoriów naukowych. Posiadany gram radu (wartości miliona franków) przekazuje laboratorium.

Jest łagodna, marzycielska, delikatna wobec ludzi, a jednocześnie wykazuje niezwykły hart woli w dążeniu do realizacji naukowych celów. Ukuwszy genialną hipotezę, że w blendzie uranowej musi zawierać się jakiś potężny pierwiastek promieniotwórczy, nie ustępuje ani o krok od niesłychanie trudnego zadania sprawdzenia swej koncepcji, pomimo spiętrzenia przeszkód natury technicznej. W wilgotnej szopie przez cztery lata przebiera własnymi rękami niezliczone tony smółki uranowej, pracując bez wytchnienia po kilkanaście godzin na dobę, by wreszcie — gdy otoczenie jest już zniechęcone — zatriumfować, odkrywając kolejno „polon" i „rad".

Aktywność uczonej, jej zdolność do nieustannej pracy — są niezwykłe. Nie umiała siedzieć bezczynnie ani przez chwilę. Rozczulające było to, że najchętniej pracowała naukowo na podłodze (na dywanie), a nie przy biurku, bo można było rozłożyć więcej papierów — i liczyła do końca życia po polsku. Jeszcze po 60 roku życia pracuje 14 godzin dziennie. Gdy zarzucano jej, że się wyczerpuje, mówiła: „Przecież praca naukowa — to moja radość. Jeżeli innym wolno bawić się inaczej, dlaczego mnie nie wolno bawić się w ten sposób?"

I znów zastanawiająca przeciwstawność: jej osobisty stosunek do nauki jest niepowstrzymanie namiętny, romantyczny — jak do „wielkiej przygody", gdzie można wykryć niespodziewane kraje... A zarazem metoda zdobywania tych krajów jest ściśle racjonalistyczna, wytworzona i kontrolowana przez precyzyjny, jasny umysł, niezwykle zdyscyplinowany, nie znoszący mglistości i nieprzemyślanej improwizacji...

Taka była Maria Skłodowska-Curie, którą czcimy dziś w setną rocznicę urodzin. Śmierć jej była ostatnim akordem w chorale jej życia: umarła, jako męczennica nauki, na anaemiam perniciosam, wytworzoną przez zabójcze promieniowanie radu nad którym pracowała bez wytchnienia 35 lat.

Nie trzeba jej zabrązawiać. To, co najgłębiej kształci, to nie wyniki jej badań, lecz jej poszukiwania, jej życie.

Dlatego tak gorąco protestowałem przed laty gdy padła propozycja (na szczęście nie zrealizowana) by na placu centralnym dzielnicy uniwersyteckiej w Lublinie zamiast jej postaci wznieść blok z fizykalnym modelem promieni alfa, beta i gamma mającym przypominać przechodnim bezosobowo o odkryciu Marii.

Ta tendencja do dehumanizacji kultury, do oddzielania wytworu od człowieka, jest wysoce szkodliwa. Pisał o tym pięknie i przekonująco niedawno zmarły prof. Armin Teske. Kształcą i wychowują — nie powierzchownie, lecz głęboko — tylko wzory osobowe.

Życie i twórczość Marii Skłodowskiej może posłużyć za niedościgniony niemal wzór dla wielu.

Narcyz Łubnicki

Kwitnąca jabłoń

DANUTA BRZOSKO-MĘDRYKOWA

JEST już jesień. Lato, które dało się we znaki swoim żarem, minęło bezpowrotnie, a teraz marzymy o jego cieple. Październik jest wilgotny. Dłużą się nam godziny rannego apelu w deszczu i nieustającej wichurze. Wiatr lubelski: latem suchy, przynoszący tumany piasku, jesienią silny, zimny i przenikliwy. Nocami wyje w szparach baraków i ziębi otulone cienkimi kocami ciała. Po rannym apelu przez cały dzień czujemy wilgoć sztywnych pasiaków, które i przez noc nie wysychają.

Skończyła się krótka praca w Bekleidungs-Kammer, adiutantka złapała nas na przenoszeniu swetrów i przepędziła z powrotem na pole. Potem przez dwa dni byłam „strażą" małego, nędznego trawnika przy 20 bloku. Miałam zieloną opaskę z napisem „Vorarbeiter" i żadnego komanda przy sobie, nie licząc pcheł, które obsiadały mi nogi. Praca moja polegała więc na odpędzaniu tych naprzykrzających się stworzeń. Brakowało mi tu Aliny, do której uciekają zawsze pchle zastępy, gdy zjawia się w zasięgu ich skoków.

Szybko jednak skończyłam karierę strażniczki, bo oberka przyłapała mnie w chwili, gdy usiłowałam opędzać się od pcheł. Jakaś Greczynka, przebiegająca w tym momencie przez strzeżony trawnik, dostała po twarzy, mnie to ominęło.

Zastanawiam się, dlaczego oberka mnie nie bije?

— Ma chyba do ciebie słabość — dziwi się Żenia.

Dzisiaj obchodzą imieniny Jadwigi. Trzymam dla Kucy zdobyte z ogródków dwa maleńkie astry. To Irka Pełka przemyciła je wczoraj. Mam jeszcze wyhaftowaną przez Alę serwetkę, a od nieznanej Lucyny, z wolności, jeden tom ulubionego przez Kucę Martin du Garde'a!

Zerkamy co chwila w stronę rewiru, czy nie wychyli się buzia Kucy, ale nie widać ani jej, ani Hanki Fularskiej. Stoimy już długo, czekając na „abtreten". Aussenkomanda już wyszły, a nas wciąż trzymają. Wspinam się na palce, żeby spojrzeć na bramę. Właśnie otwierają ją szeroko, by przepuścić konia z wozem, za którym idzie chmara postów. Co to znowu będzie?

Niemcy już są na blokach, już lecą przez okna garnki, swetry, kurtki, łyżki i miski. Jakaś książka leży w błocie pod wozem. Tak blisko! Serce mi wali, ale podejmuję decyzję. Przesuwam się, wymieniam z kobietami, jestem coraz bliżej. Wiem, że Niemki są zajęte na bloku funkcyjnych, w którym mieszkają kapo, vorarbajterki i policjantki, ale który mimo to nie ma specjalnych przywilejów, sądząc po tym, co w tej chwili tam wyczyniają.

— Śmiało! — dodaje mi odwagi Tania Kuczawska.

Wykorzystuję odpowiedni moment, schylam się, łapię książkę, a przestraszony moim nagłym ruchem koń rzuca się do przodu. Wolną ręką chwytam rozbitą głowę i już jestem w szeregach, które się rozbiegają, uciekając przed szalejącym koniem. Niemcy usiłują go złapać, my też udajemy, że pomagamy, nawołujemy, aby go jeszcze bardziej płoszyć, a ściągamy z wozu, co się uda. Nikt na nas na razie nie zwraca uwagi, więc stajemy w dziesiątkach usiłując pochować między szeregami odzyskane skarby.

Trzymam pod pasiakiem małą, wilgotną książeczkę. Jest zimna, zabłocona, ale mimo to czuję jak by mnie ogarniała fala ciepła, bo tej jeszcze nie znam, nie czytałam, a będę miała prawo pierwsza...

I znów wóz jest pełny. Aż dziw bierze, jak myśmy to wszystko przemyciły przez wachę i ciągłe na niej rewizje.

Dzisiaj rewidują także rewir. Przez otwarte drzwi wylatują palta, swetry, buty. Boję się, by nie znaleźli kolekcji guzików Maty, schowanej na „czwórce". Przed paru miesiącami Mata zaczęła zbierać etykiety od ubrań. Przez jej ręce przeszły już tysiące nazw firm, domów towarowych i monogramów. Przemyca to na wolność, czym początkowo wywołuje zaskoczenie, ale ona oprócz emocji kolekcjonera ma cel: przyczynek do historii obozu. To prawda. W tych czystych, jedwabnych, złotem haftowanych i brudnych, przepoconych, bawełnianych skrawkach jest historia zamęczonych tu ludzi.

Teraz doszła jeszcze jedna pasja: guziki. Zaczęło się w szwalni, w której Mata pracowała ze Stefą. Pewnej nocy Niemcy zabierają Rosjankę. Wywołana bez słowa zrzuca fartuch i wychodzi. Mata niespokojnie zerka na fartuch. Nawet nie znają imienia dziewczyny, a przecież trzeba powiedzieć o jej zniknięciu koleżankom i oddać zostawione przez nią pamiątki. W fartuchu nie ma nic. Nie. Jest! Jeden przyżółcony, metalowy guzik z gwiazdą radziecką. Mata wzruszona patrzy długo na tę drobną pamiątkę, która została po dziewczynie, i postanawia — przywłaszczając ją sobie — rozpocząć zbieranie herbowych guzików. Wkrótce między setkami guzików angielskich, włoskich, francuskich, Legii Cudzoziemskiej, oficerskich i żołnierskich, guzików z herbami, znajduje się nawet jeden — z dumą przyniesiony przez 3 Norweżki — guzik od munduru norweskiej gwardii królewskiej. Mata zbiera guziki, budując dziwny pomnik bezimiennej radzieckiej dziewczynie.

Pochłonięta myślą o kolekcji Maty, nie zauważyłam, że pierwsze dziesiątki ruszają do bramy. Rewizja osobista? Dotykam książki i kwiatków.

— Gdzie nas prowadzą? — pyta Maria Malicka Baśkę Wasiak.

— Do raju bram — śpiewam, chociaż mi niewesoło.

Fot. Andrzej Polakowski

Mijamy budkę, w której stoi nasz feldfuehrer i kierujemy się w stronę badu.

— Rozebrać się do naga!

Zbite w gromadkę jeszcze nie reagujemy na rozkaz.

— Verfluchte, blode Kuh! — policzki i kopniaki przyśpieszają jednak decyzję.

Zerkam na książkę. Wiersze Staffa „Kwitnąca jabłoń"... Rozglądam się bezradnie, ale nie mam gdzie ukryć. A może przeniosę?

Czekam ubrana, bo zimno jest przenikliwe. Szukam Aliny, ale gdzieś mi zniknęła już w czasie ucieczki konia z wozem. Zaciskam szczękające zęby, łokcie przyciskam do bioder, kurczę się w sobie, ale to niewiele pomaga. Kolana skaczą jakby przez nie prąd przechodził.

Czy — jeśli przeżyję — nie stanę się tylko drżącym strzępkiem człowieka, jakich się tu widuje? Zaszczutym, zalęknionym „gamlem?" Czy ktoś tam zrozumie, czym był nasz wstyd obnażonych ciał, ciągły strach, czy nie kopną, nasza nienawiść do wrzasku i krzyku?

Wpychają nas do łaźni. Krany zakręcone. Czy teraz trują tym nowym gazem, o którym pisał Andrzej Kaliński? Czy już „grają" traktory? Patrzymy na prysznic, jakby stamtąd miał iść morderczy gaz. Puszczają jednak wodę. Zimna. Odskakuję. Chwyta mnie za włosy Braunsteiner i wciąga pod prysznic. Czuję lodowate zimno i wzdrygam się jak przy oparzeniu.

Koniec kąpieli.

— Raus! — Loos! — Weiter! — Schneller!

W następnym pomieszczeniu dostajemy koce. Owijamy się w nie jak w togi i w biegu chwytając drewniaki pędzimy na pole. Książkę i kwiatki zostawiłam w rękawie pasiaka. Szkoda. Znowu stoimy. Joanna prosi oberkę o zezwolenie wejścia do baraku więźniarek, ale Monika się śmieje.

— Nic cholerom nie będzie... —

Siadamy na ziemi, ale co chwila podrywamy się, bo chodzą po nas chmary pcheł. Teraz i wykąpane i czekające na kąpiel drapią się, odpędzając się od pchlej inwazji. Dezynfekcja I pola przeprowadzona — podadzą w raporcie komendantowi.

Gdy nas przeniesiono z V na I pole, rzuciłam się na pryczę z przepięknym, puszystym kocem. Leżąc poczułam momentalnie, jak obsiadły mnie roje olbrzymich pcheł, a koc okazał się brudnym, poszarpanym strzępkiem. Nie spałyśmy ani tej, ani następnej nocy. Dopiero lizol ze szpitala, przyniesione przez robotników proszki, pomoc Lucyny i pani Anny — przetrzebiły pchle zastępy. Po dzisiejszej dezynfekcji znowu będziemy musiały wytężyć siły, by zwalczyć tę pchlą plagę.

Czekamy cały dzień poowijane w koce. Z rewiru podają nam ciepłą miętę. Potem odważamy się wskakiwać do bloków — bo zrudzone Niemki pochowały się w schreibstubie. Może je nawet zagadują Małgosia z Joanną, aby tam dłużej zostały? Gdy pod wieczór przywożą na nowo zawszone pasiaki — nie ma ani jednego haftlinga na polu.

I znowu siedzimy pod mdłym światłem jednej żarówki, zabijając wszy spasione na więźniarskiej nędzy.

Matki i dzieci

KILKASET dzieci żydowskich wciśnięto w barak otoczony drutami i wszyscy wiedzą, chociaż nikt o tym nie mówił, że są przeznaczone do gazu. Małe, drobne, ubrane w resztki strojnych lub skromnych garniturków. Jest ich mrowie. Kręcą się, bawią, wyrywają sobie znalezione patyki lub podrzucane przez kobiety, smutne jak te maleństwa, zniszczone zabawki.

Między nimi dwadzieścia, może trzydzieści kobiet, które świadomie skazały się na nieuniknioną śmierć. To matki, które nie chciały opuścić swoich dzieci. I tylko te dzieci są jako tako umyte i nakarmione. o kilkaset porzuconych nikt się nie martwi. Ani matki, które zostały, ani te, które zdradziły. Bo chyba po raz pierwszy w dziejach ludzkości matki zdradziły dzieci, zostawiając je na pastwę wszy, głodu i łez. Boją się, że pewnego dnia wezmą je razem na śmierć...

Dlaczego to zrobiły? Czy tak czynią matki? A może właśnie tak, by chwycić szansę przetrwania?

Trzy, czteroletnie maleństwa nie potrafią ani odpiąć majteczek, ani jeść bez pomocy. Chodzą więc głodne i brudne, umazane we własnym kale. Gdy przywożą zupę — rzucają się do drutów, popychają, tłoczą, rozlewają, bo kto ma je ustawić w ogonku, powtykać do brudnych piąstek miski, nakarmić i wysadzić?

Biedne, zdradzone, skazane dzieci.

Ale są polskie kobiety, te, które zostawiły w domach własne dzieci, i polskie dziewczęta, które jeszcze nie znają trudu macierzyństwa. Podchodzą, mimo zakazu, pod druty tego dziecięcego getta, by nieść pomoc. Wprowadzają trochę porządku, wyciągają głodne, nieśmiałe lub te, które sił nie mają, by przepchnąć się przed innymi. Niech jedzą wszystkie tę zupę wodnistą, co okłamuje głód. Potem wykradają dzieci na cały dzień do własnych bloków, aby je umyć i nakarmić.

Czy można się dziwić, że los wygrywają przede wszystkim dzieci ładne i miłe? To jest instynktowne, jak instynktowna i bezinteresowna jest opieka tych kobiet.

Jest między dziećmi mały, mądry chłopiec, ubrany w jeszcze nie zniszczony, jedwabny chałat, białe, już brudne pończoszki i lakierki. Przed uszami zakręcone pejsiki, na głowie mała czapeczka. I oczy olbrzymie, aksamitne, czarne, o ciężkich powiekach. A w oczach ten typowy żydowski, smutny, daleki uśmiech.

— Jaki on śliczny — wzdychają kobiety oglądając, jak małą zabawkę, umytego i nakarmionego chłopca.

— Jaki mądry — dziwią się, gdy pięcio, może sześcioletni brzdąc głosi... Bo dziecko właśnie głosi: mówi tak pięknie i uczenie. Stoi, a wokół niego aryjskie kobiety wpatrzone w maleńkie usteczka. Jak Chrystus — szepce Mata i milknie przerażona. I jest wiele dni pełnych dziecięcego płaczu, kwilenia i coraz mniejszej chęci do zabaw i kłótni. Dzieci chorują i słabną.

Patrzę na te maleństwa i znowu pytam: dlaczego świat pozwala na to powolne konanie?

Ale nadchodzi i inne konanie, gwałtowne i straszne. Gdy wjeżdża Blanke, a za nim wchodzi dr Rindfleisch, Oberaufzeherin Erich, adiutantka Braunsteiner, Betman, Konieczny i Musfeld, szef krematorium — kobiety uciekają od drutów w popłochu. Ja stoję, bo nie wiem jeszcze, jak one, że za chwilę Niemcy i nas łapać będą, abyśmy im w zbrodni pomagały.

Joanna i Żenia, wezwane przed oberkę, niechętnie, zmienionym głosem wołają:

— Lagerpolizei! Apel! Apel!

Powoli wychodzą z kątów policjantki, blade i przestraszone, jakby to one szły na śmierć. Przez bramę wjeżdża traktor.

— Uciekaj do bloku — syczy przechodząc Żenia.

Idę powoli, ale gdy słyszę niemieckie wrzaski, uciekam w stronę baraku i wołam: łapanka!

W baraku Romana chwyta moje ramię i odwraca do okna — patrz! Złapane kobiety razem z policjantkami mają rozkaz wrzucić dzieci do przyczepy. Ale one buntują się, uciekają, więc je Niemki biją pejczami, kopią i policzkują. Zmuszone policjantki otwierają ramiona udając, że łapią w nie uciekające dzieci. Bo dzieciaki czują, że im coś grozi, chociaż nie znają słowa: śmierć.

Matki, które wtargnęły teraz za druty, wyszarpują unoszone maleństwa. Dzieci biegające i potykające się Niemcy chwytają za karki jak psiaki. Wśród nich — zapłakane policjantki z „drewnianymi" rękami i z czerwonymi twarzami od niemieckich razów.

Nadchodzą posiłki z wachy: SS-mani i posty. Blanke nie schodzi z motoru. Patrzy przez duże, ochraniające od wiatru okulary, potężny, wygląda jak wielka żaba gotowa do skoku. Przygląda się łapance niepewny: wyjechać i czekać przez gaz-kamerą, czy popędzać niemrawych łapaczy?

Nie wiem, co mnie pcha, ale idę w stronę tego piekła. Idę wolno, ale coraz bardziej zbliżam się do celu. Już jestem parę kroków od motoru, już krok.

— Gut morgen, Herr Doktor!

— Aa! Danuta!... Was machst du hier? — pyta mnie zaskoczony.

Co robię? Gdzie? W obozie? Czy tu, przy tym straszny widowisku? Brakuje mi słów, czy w ogóle ich nie znajduję, więc tylko pokazuję palcem... Blanke patrzy jakby dopiero teraz spostrzegł to, co się dzieje z jego rozkazu.

— Herr Doktor! Herr Doktor — wybucham nagle, chwytając rączkę motoru — und Ihre Kind! Ihre Tochter!!? — I nie wiem, czy już płakałam, czy teraz zaczynam.

— Ruhe, Danuta. Dienst ist Dienst! — szarpnął motor, rusza, a ja zostaję na środku pola.

Blanke wydaje jakiś rozkaz i już biegną na pole Niemki przepędzając nas do bloków.

— Lagerspere!

A ja płaczę i nie wiem, skąd mam jeszcze tyle łez. Czy mi ich wystarczy do końca dni moich? Patrzę przez okno. Jakaś matka usiłuje wejść do przyczepy, ale Niemcy odrywają jej ręce, a gdy nie rezygnuje — podsadzają dziwiąc się, że dobrowolnie na śmierć się skazuje. Jakaś dziewczynka z przyczepy macha rączką. Pewnie zobaczyła matkę.

Matko, która zdradziłaś, ale którą serce zmusiło do wyjścia z ukrycia, patrz, to wasze pożegnanie!

— Pani Mato, niech pani powie, czy mam tam jść? — to głos przerażonej matki.

Mata milczy, bo co ma odpowiedzieć?

— To pani nie wie, gdzie jest pani miejsce? — krzyczy nabrzmiałym od łez głosem Stefa Błońska.

— Ja się pani nie pytam, ja się pytam pani Maty. Jak pani powie idź — pójdę. Jak zostań — zostanę.

Mato, Mato, jak straszna jest twoja odpowiedzialność. Czy masz prawo skazywać ją na śmierć? Ty byś nie pytała. Ty byś już była w przyczepie, ale mówisz: — Niech pani się ratuje!

Traktor powoli wyjeżdża wśród krzyków dzieci i lamentu matek. Tylko my, Polki, płaczemy bezgłośnie nad śmiercią maleństw duszonych gazem i nad ciężarem, co zalega serca osieroconych matek.

A w czasie apelu każą nam patrzeć na nowe widowisko: „zbuntowane" policjantki dostają po pięćdziesiąt batów. Nie krzyczą. Gdy wstają obolałe i blade, rozstępują się dziesiątki przed tymi, które są pełne człowieczeństwa i które idą jak wyrzuty sumienia matek, które zdradziły.

— Dienst ist Dienst — powtarzam słowa doktora. — A dlaczego te młode Polki, policjantki, nie uznały rozkazu, a pan te rozkazy wydaje i wykonuje, doktorze Blanke?

Czy własna pana córka będzie dumna z pana, czy przeklinać będzie pańskie imię, doktorze Blanke?!

Przed kilku tygodniami rozstrzygnięty został konkurs na pamiętniki byłych więźniów hitlerowskich obozów zagłady i więzień na Lubelszczyźnie. Organizatorami konkursu były Towarzystwo Opieki nad Majdankiem i Państwowe Muzeum na Majdanku. Laureatką II nagrody (I nie przyznano) została Danuta Brzosko-Mędrykowa, zamieszkała obecnie w Warszawie. Powyżej drukujemy fragmenty tych wspomnień, które w całości ukażą się w przyszłym roku nakładem Wydawnictwa MON.

Danuta Brzosko została aresztowana przez hitlerowców, gdy miała zaledwie 16 lat. 17 stycznia 1943 r. przewieziono ją z Pawiaka do Majdanka największym transportem, który obejmował 1500 mężczyzn i 311 kobiet. Więźniarki z Pawiaka zorganizowały na Majdanku różne formy pracy społeczno-kulturalnej. Autorka tych wspomnień była spikerką tzw. radia Majdanek, zorganizowanego z inicjatywy kilkakrotnie wymienianej Maty — Matyldy Wolniewskiej.

W lipcu 1943 r. Danuta Brzosko została przewieziona do obozu w Ravensbrueck, gdzie zdołała przeżyć do zakończenia wojny.

Polskie refleksje nad książką o teatrze angielskim

KAZIMIERZ BRAUN

NASZ czas ceni specjalistów. Nieufnie odnosi się do ogólnikowych konstrukcji myślowych nie opartych na szczegółowych badaniach. Ceni fakt, konkret, relację, dokument. Bolesław Taborski od dwudziestu lat jest bezpośrednim uczestnikiem i świadkiem życia teatralnego Wielkiej Brytanii. Z Polaków piszących o teatrze angielskim a drukujących w kraju — jest niewątpliwie najwybitniejszym specjalistą. Dlatego lektura *„Nowego teatru elżbietańskiego"* sprawia tak wielką satysfakcję. Jest to książka napisana przez fachowca.

Książka ma 517 stron. Są to trzy zasadnicze części: *„Próba czasu"* — o dramaturgach, którzy przygotowywali, w różny sposób, proces odnowy — są to Somerset Maugham, Thomas Eliot, Sean O'Casey Graham Greene; druga część nosi tytuł *„Młodzi i gniewni"* i zawiera szkice o dramaturgach, którzy dokonali odnowy — John Whiting, John Osborne, Arnold Wesker, Harold Pinter, John Arden: *„Drogi nowoczesności"* — to tytuł trzeciej części o reżyserach, którzy współtworzą nowy teatr elżbietański, jak Joan Littlewood, Peter Brook, Peter Hall, i o teatrach wiodących dziś życie teatralne Anglii: *Royal Shakespeare Company i National Theatre.* Są jeszcze szkice o współczesnej interpretacji Szekspira, o Olivierze w roli Otella, o sezonie teatralnym 1960/61. I jeszcze bardzo porządny aparat naukowy — indeksy, przypisy; także sporo dobrych zdjęć.

Kompozycja i treść książki wskazują na rudymentalną zależność dwóch podstawowych czynników, które na zasadzie naczyń połączonych rozwijają historię teatru: nowa dramaturgia pociąga za sobą nową inscenizację, a równocześnie nowe formy sceniczne, w tym także architektura teatralna, ewokują nowy dramat. To prawo historii teatru potwierdza Taborski omawiając współczesny teatr angielski. Jego książka spełnia znakomicie zadania informacyjne — nasza wiedza o teatrze Anglików zostaje rozszerzona i uporządkowana. Równocześnie głęboką wartością tej książki jest narzucająca się konfrontacja teatru angielskiego z teatrem polskim. Bo nasz teatr ma wysokie aspiracje i chciałby siebie zaliczać do czołówki światowej. Zaś teatr angielski, według dość zgodnej opinii fachowców i publiczności, jest w tej chwili najlepszym teatrem na świecie.

Taborski uświadamia więc swoim czytelnikom (oby tę książkę przeczytali wszyscy, do których jest adresowana...) jak wielki udział w rozwoju teatru danego kraju ma współczesna dramaturgia. Ba, nie tylko w rozwoju teatru — w postępie i poziomie całego życia artystycznego, kulturalnego i intelektualnego. Nie jest to novum. Ale właśnie teraz, gdy stan polskiej dramaturgii budzi najwyższą troskę, trzeba to przypomnieć i trzeba o tej sprawie mówić. Nie wierzę, że nie mamy w Polsce równie zdolnych młodych ludzi co w Anglii. Nie wierzę, że swojego gniewu wobec wszystkiego co stare i nieznośne nie umieliby wyrazić w formie równie artystycznej jak „młodzi i gniewni" Anglicy. Chyba więc kierunek myślenia naszych młodych dramaturgów rozmija się w jakiś sposób z najważniejszymi problemami epoki. Chyba więc klimat wokół współczesnej dramaturgii jest zły i nie sprzyja jej rozwojowi. Trzeba stawiać te pytania i trzeba szukać odpowiedzi — znalezienie ich ułatwi przykład Anglików: Wesker buntuje się wobec praktycznych nierówności w korzystaniu z dóbr kultury, jakie istnieją w ramach teoretycznie idealnej demokracji angielskiej. Osborne kieruje swój gniew na Anglię za beznadziejną często sytuację, w jakiej stawia młodych intelektualistów; w 1957 roku krytykował oficjalną politykę w sprawie Suezu. Whiting określał rozwój współczesnego mu społeczeństwa jako proces samozagłady, Pinter dostrzegł zagrożenie jednych ludzi przez drugich i potworny egoizm jaki zrodził obecny establisment itd. itd.

Może mógłby ktoś powiedzieć na to, że system, instytucje, sposób życia w kapitalistycznej Wielkiej Brytanii jest tylko „zły" a u nas tylko „dobry" — więc nie ma o czym pisać. Ale nikt poważny takiego argumentu nie wysunie. Chodzi więc o atmosferę zaufania do obywatelskiej postawy młodych twórców. A w tę postawę można wierzyć. Chodzi o klimat umożliwiający im zajmowanie się sytuacjami konfliktowymi, a więc dramatycznymi; bo nie ma dobrej sztuki teatralnej, która by nie napięta swojej akcji na sprężysty łuk konfliktu. Chodzi o wskazywanie młodym, że grzecznością, układnością i błądzeniem po marginesach życia nie wniosą swojego wkładu w rozwój współczesnej kultury. Bardziej wartościowy jest ich gniew, szczere poszukiwanie prawdy, zaangażowanie.

Książka Taborskiego powinna być okazją do przemyśleń dla ludzi doświadczonych i odpowiedzialnych za sprawy kultury zwłaszcza w punkcie ich stosunku do młodych. Dla młodych zaś do refleksji nad własną postawą i pracą. Bo nowy teatr elżbietański zrobili ludzie młodzi. Jest to problem rodzenia się talentów i indywidualności — choć wewnętrzna i trudna do wykrycia — jest w tym jednak pewna prawidłowość. Jest to także problem organizacji życia kulturalnego, atmosfery, która pozwoliła dojść do głosu młodym, sprzyjała ich pracy i rozwojowi. Osborne zdobył sławę *„Miłością i gniewem"* mając 27 lat. Arden ma w tej chwili 37 i jest od dobrych paru lat czołowym dramaturgiem swego kraju. Pinter napisał *„Urodziny Stanleya"* mając 28. To samo tyczy reżyserów i aktorów. Peter Hall został powołany na stanowisko dyrektora najpoważniejszego teatru Wielkiej Brytanii — Królewskiego Teatru Szekspirowskiego w Statfordzie, z drugą sceną w Londynie, w wieku 28 lat. Bardzo młodo bardzo poważne przedstawienia w bardzo poważnych teatrach zaczęli reżyserować Williams, Barton i inni. Z aktorów Nicol Willamson otrzymał nagrodę dla najlepszego aktora roku za rolę Billa Maitlanda w *„Nie do obrony"* Osborne'a mając 27 lat. Peter O'Toole grał Shylocka w Statfordzie mając 28 lat. David Warren starca — Króla Karola Francuskiego w *„Wojnie dwóch róż"* Szekspira w wieku lat 23. Mając 24 zagrał Hamleta. Gdy zaświta w Anglii talent (poparty ciężką pracą nad sobą) nikt nie waha się przed awansowaniem go i lansowaniem.

Odnowa inscenizacji sztuk elżbietańskich dokonała się przede wszystkim za sprawą P. Holla i jego współpracowników. Odnowę tę rozpatruje Taborski głównie na płaszczyźnie intelektualnej — nowych ujęć interpretacyjnych. Między innymi opisuje szczegółowo Beckettowską koncepcję Króla Leara zrealizowaną przez Brooka. W tym akcentowaniu płaszczyzny intelektualnej teatru przyjmuje Taborski bardzo polski punkt widzenia. Nie charakteryzuje natomiast jednoznacznie materii teatralnej i stylistyki omawianych przedstawień, co jest równie pasjonującym tematem rozmów ludzi teatru na Zachodzie. Ani razu bodaj nie pada w książce termin „teatr bogaty" będący skrótem i roboczą definicją poszukiwań i osiągnięć, założonego programu i zrealizowanych przedstawień *„Royal Shakespeare Company"* Kierownicy RSC (zapewne piórem Holla) piszą o tym nawet w nocie odbijanej w programie każdego przedstawienia. „Teatr bogaty", to stylistyka spożytkowująca w każdym widowisku efekty i środki różnorodne i kontrastowe: okrucieństwo i liryzm, prostactwo i intelektualizm, tragizm i komizm. Całą paletę barw, sposobów, chwytów aktorskich, inscenizacyjnych, scenograficznych tak bogatych, jak bogate i różnorodne w swoich przejawach jest samo życie. Gdy odkrywcza interpretacja myślowa zostanie wyrażona teatralnie przy pomocy tej stylistyki — powstaje widowisko wspaniałe, fenomen sztuki teatru. Najdobitniejszymi manifestacjami tego stylu był cykl *„Wojny dwóch róż"* i *„Marat/Sade"*. Uprawiają go liczni reżyserzy angielscy. Taborski opowiada o nich i akcentuje (np. w cytowanej wypowiedzi Holla) ich nową formację. Bo niewątpliwie, przy wszystkich różnicach indywidualności, reżyserzy wiodący dziś rozwój teatru angielskiego tworzą określoną grupę. Są to reżyserzy nowocześni, artyści typu Craigowskiego. Wyspecjalizowani w inscenizacji, a już nie parający się przeważnie aktorstwem, praktycy sceny a zarazem intelektualiści. Wywodzą się przeważnie ze środowisk uniwersyteckich. W Oxfordzie, Cambridge i gdzie indziej inscenizują swoje pierwsze przedstawienia amatorskie i studyjne. Tą drogą wchodzą do teatru zawodowego. Taka formacja nowoczesnego reżysera wydaje się najbardziej słuszna i owocna. W Polsce można z satysfakcją obserwować napływ kandydatów na reżyserów (do PWST w Warszawie, która jest koniecznym progiem) z podobnych w zasadzie środowisk. Do nich należeć będzie przyszłość naszego teatru.

Pochodzenie książki Bolesława Taborskiego — jest, to zbiór artykułów — sprawia, że wiele istotnych cech nowego teatru elżbietańskiego w poszczególnych rozgrawach jest zaznaczonych, ale w całości nie wyakcentowanych. Może potrzebne by było tej książce obszerne i właśnie ogólne resume na końcu. Zwłaszcza można by oczekiwać wyraźnego wyjaśnienia paralel między starym i nowym teatrem elżbietańskim. Bo przecież tytuł książki nie należy traktować tylko metaforycznie. Zestawienie dwóch epok teatru angielskiego jest cenne i odkrywcze. Lecz brak trochę, zwłaszcza historycznej, egzemplifikacji tej paraleli. A może po prostu Taborski napisze drugą i trzecią książkę o teatrze angielskim? Bo w drugiej mogłyby się znaleźć studia szczegółowe o paru jeszcze reżyserach, którzy na to chyba zasługują — jak Antony Page, John Dexter, Clifford Williams, Peter Wood, Tony Richardson. Przydałyby się studia o paru aktorach. Kreację Oliviera w roli Otella Taborski opisał tak znakomicie, że można być pewnym jego kunsztu w tym bardzo trudnym emploi krytyka — jakim jest pisanie o grze aktorskiej. Ze starszych aktorów zapewne winno być miejsce znów na Oliviera, Gielguda, Dotrice'a a potem na tych, którzy aktywnie współtworzą nowy teatr i zasłużyli już sobie, mimo młodego wieku, na trwałe w nim miejsce — jak Paul Scofield, Ian Holm, Albert Finney, David Warren, Doroty Tiulin, Glenda Jacson, Janet Suzman, Michele Dotrice i paru innych. Zresztą sam Taborski zrobiłby najlepszy wybór.

Interesowałyby nas także bardzo monografie innych jeszcze teatrów poza Statfordem i Narodowym (łącznie ze sceną w Chichester). Szczególnie mogłaby się nam, Polakom, przydać historia *English Stage Company* i teatru *Royal Court*, które wymieniane są dziesiątki razy w *„Nowym teatrze elżbietańskim"*. Odegrały bowiem ogromną rolę w jego rozwoju, zwłaszcza w rozwoju młodej dramaturgii, rolę mądrego a zarazem przedsiębiorczego mecenasa. Tu odbyły się liczne prapremiery Osborne'a, Weskera, Ardena i innych. Ta placówka daje również okazje do „polskich refleksji". Warto się chyba zastanowić nad uformowaniem podobnego teatru w Polsce. Myślę że nasze środowiska teatralne i literackie i nasze państwo stać by było na zorganizowanie i finansowanie np. w Warszawie jednego teatru poświęconego głównie dramaturgii rodzimej. Może dla potrzebnego aktorom płodozmianu można by tam zagrać także jakąś jedną sztukę klasyczną i jedną współczesną obcą, ale byłby to teatr nastawiony zasadniczo na dramaturgię krajową. Roli tej nie spełnia dostatecznie *Ateneum* ze swoim konkursem dramaturgicznym, bo jego konsekwencją jest zapewnienie realizacji w Warszawie tylko jednej nowej polskiej sztuki i to tylko debiutu. A to za mało. Za wąskie to ramy dla rozwoju młodej dramaturgii.

Więc jest materiał na drugą książkę Taborskiego o teatrze angielskim. W trzeciej, mogłaby się może znaleźć synteza akcentująca wszystkie najważniejsze cechy nowego teatru elżbietańskiego. Spodziewam się, że Wydawnictwo Literackie, któremu należy się wielka wdzięczność za tę książkę, szukuje już dla Bolesława Taborskiego nowe umowy wydawnicze.

Chłopiec w okularach Kanta

KAZIMIERZ JABŁONOWSKI

HRABINA wyszła o piątej po południu". Takie zdanie wyśmiewał w swoim manifeście nadrealizmu Andre Breton. Prawodawca tego kierunku chciał w ten sposób zdezawuować wszelkie niefunkcjonalne, acz konwencjonalne dodatki do materiału prozy powieściowej, a nawet zakwestionować fabularność jako zasadniczy składnik konstrukcyjny. Coraz częściej też pisana prozą literatura piękna zarzuca fabułę, wątek, anegdotę, polegając na mowie wprost, rezygnując z okrężnej drogi poprzez wymyślone postacie i sytuacje. Ostatni przejaw tej tendencji to monolog wewnętrzny.

Ale są jeszcze — i to w szerokiej praktyce — niefabularne formy od monologu wcześniejsze, przeżywające jak gdyby swój renesans. To językiem literatury napisany traktat, powiastka filozoficzna, felieton. Sięgnął po nie Aleksander Jerzy Wieczorkowski w swojej książce „Chłopiec gwiżdżący Mozarta"*, w tym zbiorze felietonów dając próbkę swych obszerniejszych, niż jak by to z natury felietonu wynikało: obyczajowe, czy środowiskowe — bo również moralnych i filozoficznych przemyśleń. Warto zwrócić uwagę na trzy cechy fragmenty te wyróżniające. Po pierwsze — są one krótkie, na niecałych 200 stronach mieści się ich 37, co zapisuje się na dobro ich zwartości i esencjonalności, skoro tak małym „metrażem" potrafią towarzyszyć sprawom wcale niemałym. Po drugie — celują wszystkie ku problemom nurtującym wykształcony i czujny umysł człowieka zastanawiającego się nad myśleniem, odczuwaniem itp., a czynią to za pośrednictwem intelektualnego sztafażu wysokiej próby. Po trzecie — zawierają dowcip będący nie samą tylko przyprawą służącą do podtrzymania apetytu, czy ułatwienia konsumpcji, ale dowcip jako zasadniczy składnik wywodu na równi z analizą i argumentem.

Ten ostatni wyróżnik nie najczęściej się zdarza w utworach o zacięciu intelektualnym. Myślenie u nas odbywa się przeważnie w tonacji śmiertelnie poważnej. Boy pod tym względem uczynił wyłom w krytyce, Winawer w powieści z pogranicza science-fiction. Wieczorkowski posługuje się humorem w rozważaniach o ostateczności, absolucie, świecie, względności, wiedzy, doskonałości, szczęściu itp. Czyni to w sposób, za który nieustannie lekturę jego książki przerywa cichy, „pomyślany" okrzyk zachwytu. Urzekająca proza.

Urok jej polega głównie na koegzystencji dwu postaw: filozoficznej i dziecięcej. To dziecko w okularach Kanta. (Można by na tym miejscu wymienić i inne nazwiska, ponieważ Wieczorkowski bardzo chętnie posługuje się galerią klasyków filozofii, jeśli nie autentycznych, to... zmyślonych, powołanych do felietonowej służby, ale autor „Krytyki czystego rozumu" otrzymuje chyba najobszerniejszy metraż cytatów i wzmianek). Dziecięce rozumowanie jest tam nie tylko czynnikiem humoru, ale również całkiem świadomą realizacją postawy intelektualnej, wobec której o tę pozornie paradoksalną wrażliwość. Dziecko, które wraz ze scholastykami poszukuje uniwersaliów, z Kartezjuszem ustala zasady metodycznego rozumowania, z Kantem trop możliwość wszelkiej przyszłej metafizyki, która będzie mogła wystąpić jako nauka. Wszędzie mające niezaprzeczalnie uzasadnione i poprawnie w kategoriach naukowych wyrażone swe dziecięce zastrzeżenia i uwagi.

Typowy pod tym względem może być przykład opowiadania tytułowego, w którym dwunastoletni chłopiec taką oto replikę daje swemu przygodnemu rozmówcy: „Nie sądzę, aby przyjmowanie apriorycznych założeń pomogło nam w dyskusji. Najpoważniejszym nieszczęściem większości dyskusji jest właśnie skłonność do lansowania tak zwanych sądów oczywistych, które przy wnikliwym zbadaniu wcale aksjomatami nie są" A oto, co odpowiada kelner klientowi żądającemu pieczeni a'la Chateaubriand (figlik Wieczorkowskiego? nie jestem gastromanem) i krytykującego brak tejże ze względów oszczędnościowych: „Czy jest pan przekonany, że osiągnie pan rzeczywiście pełnię doznania estetyczno-somatycznego, gdy zrezygnujemy z wulgarnych — jak pan twierdzi — przesłanek ekonomii na rzecz pańskich zachceń?"

Jak wspomniałem, Wieczorkowski nie boi się wędrówki wzdłuż problemu aż do ostatecznych, krytycznych, czy wątpliwych jego stadiów. Przypomina to penetrację podziemnego chodnika w kopalni, na skutek której to czynności można utknąć w ciasnocie brył bez możliwości odwrotu. Jest to koszt wszelkiej umysłowej eksploracji. Ale w miejscu, gdzie nie wystarczają dawne kategorie w celu posuwania się naprzód, filozofowie wymyślają systemy. Wieczorkowski — oczywiście fourth proportions gardees — wymyśla dowcip i jest tak samo ocalony. Osiągając przy tym dwie korzyści: 1) humor jako współpartnera, a nawet współczynnik intelektualnego stosunku do świata; 2) zwątpienie w stosunku do jakiejkolwiek wziętej z osobna tezy filozoficznej. Inteligentnie, ale i zabawnie wątpić — oto jego dewiza. To nie sieć w składzie porcelany. To mądry błazen przy regale z dorobkiem myśli.

Wydawać by się mogło, że w ten sposób przebywamy tylko w kurzu bibliotek. Tymczasem oprócz żywości stylu felietony Wieczorkowskiego odznaczają się wyraźnym adresem do współczesności, aczkolwiek nie można na to przytoczyć świadectwa realiów, jakimi się posługują. Jest właśnie godną podkreślenia specyfiką tego pióra, że nie korzystając z ułatwień drobnych okoliczności pisze do nas może pozornie w sposób, o którym mówi się „wszędzie i nigdzie", ale rzeczywiście trafiając w meritum wątpliwości towarzyszących procesowi naszej cywilizacji, naszego życia umysłowego hic et nunc.

*) Aleksander Jerzy Wieczorkowski: „Chłopiec gwiżdżący Mozarta", PIW, 1967, str. 178, cena 10 zł.

Wschód w muzyce i poezji

PO FESTIWALACH piosenkarskich w Opolu i Sopocie nadszedł czas Warszawskiej Jesieni Muzycznej, która wśród prawdziwych melomanów budzi nie mniejsze kontrowersje, niż wśród zwolenników lekkiej muzy oba festiwale. Tak czy inaczej muzyka poważna odzyskuje swoją rangę, a na afiszach pojawiają się coraz częściej nazwiska pianistów, skrzypków, śpiewaków, bądź też zespołów, nie uprawiających ani jazzu ani big-beatu.

Jednym z takich zespołów, unikalnym w skali krajowej, a zyskującym coraz większy rozgłos, jest Warszawski Zespół Orientalny. Mimo przymiotnika „warszawski" w rozmowie z twórcą i kierownikiem zespołu Czesławem Kwiecińskim dowiadujemy się o bardzo ścisłych związkach z Lublinem...

— Pochodzę z Krzczonowa, w Lublinie kończyłem gimnazjum Zamoyskiego, a także szkołę muzyczną. Z orkiestrą Filharmonii Lubelskiej grałem koncert dyplomowy. O ile pamiętam dwie lub trzy osoby z zespołu także pochodzą z woj. lubelskiego.

— Ma pan dosyć rzadkie u nas zainteresowania kulturą orientalną, a przede wszystkim indyjską. Jak to się zaczęło?

— Jako student wydziału dyrygentury Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie przeczytałem w 1958 r. świeżo wydaną „Autobiografię" Mahatmy Gandhiego. Od tego czasu urzekła mnie filozofia, kultura i sztuka Indii, zostałem członkiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Indyjskiej. Pod koniec stycznia każdego roku Towarzystwo z okazji rocznicy proklamowania niepodległości i ogłoszenia konstytucji Indii organizuje uroczyste wieczory kultury indyjskiej. Zwrócono się do mnie, abym nauczył śpiewać hymn tego kraju grupę studentów filologii indyjskiej UW. No, ale nie miałem nut. Udałem się do ambasady, gdzie spotkałem się z ówczesnym attaché kulturalnym, p. Alfredem Vaz, który znał język polski. Zresztą także grał na skrzypcach, szybko więc znaleźliśmy wspólny język.

— No ale chodziło o nuty...

— P. Vaz śpiewał hymn, a ja zapisywałem nuty. Przy tej okazji dowiedziałem się, że autorem nie tylko słów ale i melodii był znakomity pisarz, filozof, malarz i kompozytor w jednej osobie — Rabindranath Tagore. Hymn ten, zaczynający się od słów „Dziana-gana-mana" („Stwórca losów Indii") jest jedną z jego pieśni, śpiewanych przez tamtejszych skautów w czasie ruchów narodowowyzwoleńczych, a także na pierwszym posiedzeniu Indyjskiego Kongresu Narodowego w 1911 r. Zresztą Tagore skomponował ok. 2 tysiące pieśni, pisząc także słowa, a ponadto kilka melodramatów. Po tym koncercie otrzymałem list z podziękowaniem od ówczesnego ambasadora p. Sunil Kumar Roy.

— Tak więc geneza zespołu łączy się z dwoma najwybitniejszymi ludźmi współczesnej Indii — Gandhim i Tagore. Ale to był dopiero początek?

— W miarę rozwoju przyjacielskich kontaktów z p. Vaz zaczęliśmy organizować w jego mieszkaniu prywatnym coś w rodzaju „czwartkowych wieczorów muzycznych". Słuchaliśmy nie tylko arcydzieł muzyki europejskiej, ale także wschodniej, a przede wszystkim utworów Tagore. Jego piękne utwory, skomponowane w oryginalnych skalach wschodnich, porywały mnie coraz bardziej. W konsekwencji rodziły się myśli, jak je wprowadzić w polski świat muzyczny, jak zapoznać z nimi polskich wielbicieli poezji, mądrości i humanizmu Tagore'a. Chciałbym dodać, że przy zapisie fonetycznym słów pomagał mi osobisty przyjaciel Tagore'a — dr Hiranmej Goshal, lektor języków indyjskich UW, oraz jego studentki Jadwiga Kowalczuk i Alicja Maliszewska.

— Zorganizowanie zespołu było więc konsekwencją zainteresowań osobistych. A znalezienie chętnych do współpracy?

— Zaproponowałem to kilku kolegom z PWSM w Warszawie, przedstawiając im taki program: 1) częściowe nawiązanie do Orientu w historycznym pochodzeniu i brzmieniu instrumentów — harfa, flet, obój, klarnet, fagot, perkusja i głos ludzki, 2) przekazywanie słuchaczom piękna mało dotychczas znanej u nas twórczości kompozytorskiej krajów Dalekiego i Bliskiego Wschodu, 3) Wykonywanie utworów kompozytorów europejskich, powstałych pod wpływem egzotyki Orientu. Początkowo repertuar obejmował wyłącznie pieśni Tagore'a. Pierwszy wielki koncert daliśmy 8 maja 1961 r. w Pałacu Kultury i Nauki w ramach obchodu setnej rocznicy śmierci Tagore'a, zorganizowanego przez Min. Kultury i Sztuki oraz Polski Komitet do spraw UNESCO. M. in. były dwie jego pieśni w języku bengali: „Durero bondhu" („Przyjacielu daleki") i „Dzibono dziokhono" (Przyjdź z pieśnią nektarem").

— O ile się orientuję repertuar Warszawskiego Zespołu Orientalnego jest bardzo szeroki?

— Tak — włączyliśmy pieśni japońskie, mongolskie, chińskie, wietnamskie, armeńskie, gruzińskie, krajów arabskich. Następnie pieśni europejskie z motywami orientalnymi (Rimskij-Korsakow, Czajkowski, Rachmaninow, Brahms, Szymanowski i in.). Dalej lirykę poetycką europejską z motywami wschodnimi, a więc np. Byron (fragmenty „Giaura"), Goethe („Dywan Zachodu i Wschodu"), Mickiewicz („Sonety Krymskie"), Słowacki (poemat arabski „Szanfary"), Lermontow („Demon"), Puszkin („Pieśń o Gruzji").

— Po selekcji powstał z tego programu muzyczno-poetycki pod nazwą „Wschód w muzyce i poezji", z którym zespół występował na wielu imprezach centralnych...

— Od przeszło dwóch lat odwiedzamy także większe ośrodki kulturalne w kraju. Występowaliśmy w filharmoniach Lublina, Białegostoku, Wrocławia i Łodzi, oczywiście także w Filharmonii Narodowej w Warszawie. W sezonie koncertowym 1967/68 przewidujemy występy w południowych, zachodnich i północnych rejonach kraju, a także tournée w NRD. Myślimy, że nasze koncerty służą idei zbliżania dwóch wielkich kultur — Wschodu i Zachodu.

Rozmawiał: (jd)

Listy do KAMENY

DYREKTORZY I KUCHMISTRZE

Panie Redaktorze! Zgadzam się z Jackiem (patrz poprzedni numer „Kameny" — red.). Już często zastanawiałem się, dlaczego w Lublinie są dwie dyrekcje: LZG Śródmieście i LZG Stare Miasto. Rozumiem, że w Warszawie gastronomia jest zdecentralizowana, ale przecież Lublin to nie stolica, tych zakładów żywienia zbiorowego, jak nazywa się restauracje, nie jest znów tak wiele. Zamiast podwójnych dyrektorów, kierowników i referentów można by zwiększyć liczbę kuchmistrzów i kelnerów. Kiedyś wybrałem się do Śródmiejskiej. Kilka stolików było wolnych, ale na serwetkach widniał groźny napis „zarezerwowany". Kto to taki ważny, że rezerwuje sobie miejsca? Zapytałem o to kelnerkę, a ta odpowiedziała, że te stoliki nie są zarezerwowane, ale ona nie jest w stanie wszystkich konsumentów obsłużyć, bo musi zastępować chorą koleżankę. Choroby zawsze się zdarzają, ale w każdej sytuacji należy znaleźć jakieś wyjście. Pomysł, o którym piszę, trudno nazwać racjonalizatorskim.

JANINA KULIŃSKA
Lublin

650-LECIE?

Droga Redakcjo! Nie wiem, czy Panowie Redaktorzy czytali w „Sztandarze Ludu" list p. Anzelma Borkowskiego. Pan Borkowski ma stuprocentową rację: w Lublinie w ogóle nie dostrzegamy, że to jest dla miasta rok jubileuszowy — 650-lecie nadania mu praw miejskich. Pocieszajmy się, że jeszcze pozostała jesień, może wówczas nadrobimy wszelkie zaległości. Ale czy w Polsce zawsze musimy n a d r a b i a ć? Jedna rzecz mnie cieszy: nareszcie mają być zmienione godziny „urzędowania" naszych sklepów. Dotychczas sklepy pracowały, jak urzędy, a przecież i w niedzielę żołądki nie świetują. Może na jubileusz 1000-lecia Lublina wykończy się wreszcie budowę pawilonu handlowego na osiedlu Słowackiego. Chyba nikt tutaj z dyrekcji PSS i MHD nie mieszka. Diabli mogą wziąć, gdy się pół godziny, a nawet i dłużej, czeka w kolejce, aby kupić bochenek chleba w klitce, która imituje sklep. Budowa pawilonu utknęła na martwym punkcie. Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie wszystko zaczynać od początku, bo dzieci zdewastują to, co dotąd zrobiono. Zastanawiam się też nad tym, kiedy wreszcie zostanie zburzona rudera na rogu Al. PKWN i ul. Wileńskiej, która może być przyczyną poważnego wypadku drogowego. Czy Prez. MRN czeka na ofiary? A swoją drogą dotąd nie dowiedziałem się (i nie tylko ja), kto konkretnie odpowiada za wypadek na Czwartku? Pisała o tym „Kamena", „Kurier" i „Sztandar". Było dużo słów goryczy. I co dalej?

JERZY WYSOCKI
Lublin

BEZ ŁAMIGŁÓWEK!

Szanowny Panie Redaktorze! W poprzednim numerze „Kameny" z dużą przyjemnością przeczytałem dwa miłe wiersze panów Mrozowskiego i Guzka. Chciałbym spotykać w naszym poczytnym piśmie więcej takich komunikatywnych utworów. Łamigłówki poetyckie pozostawmy „Poezji". Niech sobie ona eksperymentuje, ja chcę po prostu c z y t a ć wiersze.

Łączę pozdrowienia i proszę o wzięcie pod uwagę mojego punktu widzenia.

ZYGMUNT GROSS
Białystok

ADRESAT: „RUCH"

Drogi Redaktorze! Rację ma redaktor Dostatni. I ja byłem w Bułgarii. Dobrze, że znam niemiecki, dobrze, że nie jestem głuchy i mogę słuchać radia. W przeciwnym wypadku w ciągu trzech tygodni nie miałbym pojęcia, co się dzieje na świecie. „Trybuna Ludu" przychodzi z 7—10-dniowym opóźnieniem, trzeba dobrze żyć ze sprzedawcami gazet, aby zostawiali egzemplarz. Czy szanowny „Ruch" zapomina, że teraz tysiące Polaków odpoczywają nad Morzem Czarnym?

KAZIMIERZ SŁOMKOWSKI
Wrocław

• • •

Panie Redaktorze! Szczerze mówiąc nie wiem, po co w „Kamenie" jest ten nadtytuł: „Lublin, Białystok, Kielce, Rzeszów". W Radomiu tylko dzięki znajomościom mogę nabyć „Kamenę", jestem skazany na bieganie od kiosku do kiosku. Byłem natomiast we Wrocławiu i tu bez trudu i bez znajomości nabyłem pismo w kiosku na dworcu kolejowym. Również w Warszawie w kioskach przy al. Jerozolimskich niemal zawsze widuję „Kamenę". Trudno mi jednak po każdy egzemplarz jeździć do Warszawy czy Wrocławia. Postanowiłem zaprenumerować od 1 października, ale czy to jest najlepsze wyjście?

JAN BURZANIEC
Radom

„POSTE RESTANTE"

Redakcjo! W ostatnim numerze nie było rubryki „Poste-Restante". Nie pozbawiaj czytelników zabawnej lektury!

R. Z.
Toruń

• • •

Panie Redaktorze! Nie wiem, co sądzić o rubryce „Poste-Restante". Żartujecie z autorów czy z czytelników? Wiersz p. Chodzki z Białegostoku wydał mi się dowcipny, natomiast niektóre inne... Lepiej nie wspominać!

B. LEWIK
Lublin

Z „Poste-Restante" nie rezygnujemy. (RED.)

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

● Dzielnicowy Dom Kultury na Nowym Mieście w Białymstoku należał do tych nielicznych placówek kulturalnych, które w okresie urlopów nie przerwały działalności. Niemal każdego tygodnia odbywały się tu co najmniej dwie imprezy.

● W Sejnach odbyło się uroczyste posiedzenie Zarządu Głównego Litewskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego z okazji 10-lecia powstania tej organizacji, a następnie w Burbiszkach — koncert zespołów amatorskich.

● W Borkach nad Neckiem w dniach 17—30 sierpnia odbyło się sympozjum pod hasłem „Spotkanie z Białostoczyzną roku 1967", zorganizowane przez Prezydium WRN, Białostockie Tow. Kultury, Biał. Tow. Naukowe, ZMS i ZMW.

● Dom we wsi Ogródek, który własnoręcznie zbudował Michał Kajka, został uznany za zabytek. Jest on obecnie restaurowany, a w przyszłym roku otwarte tam zostanie muzeum poświęcone pamięci mazurskiego poety i bojownika o polskość Mazur.

● ZMS i Kuratorium ogłosiły konkurs literacki (wszelkie formy) dla młodzieży szkolnej, pracującej i studenckiej pod hasłem „Mój debiut". Prace należy nadsyłać do 20 listopada do szkół, zakładów pracy i kół ZMS.

KIELCE

● Wystawa ceramiki ludowej, zabawkarstwa ludowego i tkactwa świętokrzyskiego na pl. Obrońców Stalingradu w Kielcach zainauguruje 15 września doroczne Świętokrzyskie Dni Folkloru. Program Dni jest bardzo bogaty i różnorodny.

● Od października czynny będzie w Końskich punkt konsultacyjny Uniwersytetu Łódzkiego dla pracujących w zakresie matematyki i fizyki, przeznaczony głównie — ale nie wyłącznie — dla nauczycieli.

● Huta Ostrowiec przekazała odpowiednie fundusze na rozbudowę Muzeum Hutnictwa w Słupi Nowej. Rozbuduje się pawilon ekspozycyjny, powstaną pracownie naukowe.

● W zabytkowej, a przez wiele lat zaniedbanej synagodze w Chęcinach otwarto kino panoramiczne na 120 miejsc. Ma tam jeszcze powstać biblioteka i czytelnia.

● Teatr im. St. Żeromskiego przygotowuje dwie sztuki: „Kosmogonię" J. Iwaszkiewicza w reżyserii B. Czechaka i „Pana Jowialskiego" Fredry w reż. A. Dobrowolskiego.

LUBLIN

● Oddział Polskiego Tow. Historycznego rozpoczął już przygotowania organizacyjne do przyszłorocznego (we wrześniu) zjazdu historyków — ok. 500 z kraju i 50 z zagranicy. Tematem obrad będzie „Polska w świecie".

● Chór „Echo" przez dwa tygodnie przebywał w Bułgarii, zaproszony tam przez chór Rodni Zwuci, który w ub. miesiącu był gościem „Echa".

● Jak się okazuje, mieszkańcy wsi Cicibór Duży (pow. Biała Podlaska) są obrażeni na autora piosenki „Panny z Cicibora" Kazimierza Łojana.

● Teatr im. J. Osterwy rozpoczyna sezon „Mazepą". Wśród zespołu aktorskiego wiele nowych twarzy — w tym chyba ze trzy małżeństwa.

RZESZÓW

● Województwo zajmuje pierwsze miejsce w kraju pod względem czytelnictwa prasy radzieckiej. W br. prenumeruje się 43 535 egzemplarzy pism radzieckich, z czego 32 tys. dla młodzieży.

● W Rzeszowie ma być otwarty lokal Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy przy ul. Słowackiego. Obejmuje on księgarnię, czytelnię, salę wystawową, salę imprezową, pomieszczenia do nauki języków obcych oraz kawiarnię. Wnętrza projektowali architekci Czesław Biały i Janusz Bikort.

● Z okazji 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej KW PZPR, Prez. WRN oraz Zarząd Okręgu ZPAP ogłosiły konkurs dla rzeszowskich plastyków. Prace mają wykazać „wpływ Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej oraz Polskiej Partii Robotniczej na głębokie przemiany, jakie zaszły w naszym kraju, a zwłaszcza w naszym regionie, w wyniku zwycięstwa socjalizmu". Prace można nadsyłać do 11 grudnia, suma nagród 32 tys. zł.

● W Przeworsku powstał komitet redakcyjny monografii, która ma ukazać 700-letnią historię miasta. Komitetem kieruje mgr Antoni Kunysz, dyrektor Muzeum w Przemyślu.

● W Przemyskie „Fredreum" przygotowuje na nowy sezon trzy sztuki: inscenizację noweli Sienkiewicza „Ta trzecia", „Niemcy" Kruczkowskiego i „Śmierć na gruszy" Wandurskiego.

Sport to nie tabu

(Dokończenie ze str. 8)

sputniki, nie licząc pierwszego czy drugiego.

Sport dzisiejszy to również wielka szansa awansu społecznego i to nie tylko w naszym kraju. Gdy panowie lordowie i baronowie z Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego sami czynnie uprawiali sport, mogli mówić że są prawdziwymi amatorami. Sportem zajmowali się dla zabawy albo żeby zabić spleen, a na treningi i zawody przyjeżdżali własnymi samochodami najlepszych marek. Dziś każdy młody człowiek, jeżeli tylko ma wrodzony talent i przez pewien czas podda się różnym rygorom, może stać się sławny, ściskać rękę królom i prezydentom, podróżować po całym świecie, pracę zawodową i naukę traktować jako zło konieczne a niezmiernie dokuczliwe, dające się zresztą obejść w bardzo różny sposób. Do czasu aż się zestarzeje lub tak sobie przewróci w głowie, że z mistrza zamieni się w odpad...

Trzecią wreszcie cechą sportu są jego wartości wychowawcze. Tyle już na ten temat napisano, że chyba wszystko okaże się truizmem. Z tą małą ale zasadniczą uwagą, że efektów wychowawczych powinniśmy oczekiwać z obu stron — na ringu i na sali, na płycie boiska i na trybunach.

No i na zakończenie nie można pominąć materialnych spraw. Z jednej strony dziesiątki, czasem setki tysięcy złotych wpływów — z drugiej takie same, a czasem jeszcze większe wydatki związane z tą samą imprezą. W jednym z klubów usiłowałem kiedyś zapoznać się z wysokością sum i sposobem ich wydatkowania na utrzymanie obiektu sportowego, zbudowanego prawie całkowicie pracą społeczną miejscowej ludności. Klub otrzymał ten wielomilionowy obiekt w prezencie i wydawało mi się, że przeznaczając zbyt mało funduszy na jego utrzymanie i remont, powoduje przyspieszoną dekapitalizację obiektu. W innym klubie przy dużej fabryce usiłowałem się dowiedzieć, ile zarabia trener. Dziwiłem się, że ma tylko wykształcenie podstawowe i jakieś kursy szkoleniowe, że ma nie tylko trenować ale i wychowywać — chociaż nigdy nawet nie liznął pedagogiki czy psychologii. W obu wypadkach odpowiedziano mi, że tymi sprawami zajmują się odpowiednie władze i — po prostu — nic mi do tego. A w sąsiedniej fabryce bez trudności dowiedziałem się wszystkiego, czego chciałem na temat inwestycji i remontów, a także wysokości zarobków kilku osób z dyrektorem włącznie, w czym skrupulatnie policzono premie, nagrody i ew. wypłaty z funduszu bezosobowego.

Tak więc reperkusje polityczne, możliwości awansu społecznego, wartości wychowawcze oraz sprawy materialne — wszystko to powoduje, że zawody sportowe wbrew temu, co się powszechnie lansuje, to nie tylko widowisko sportowe. I dlatego nie jest rzeczą obojętną, jak to widowisko pokazujemy, kto w nim gra główne role, oficjalnie i nieoficjalnie. Kilka razy już wytykałem kolegom sportowcom, że sugerowali jednym drużynom, aby się „podłożyły", umożliwiając awans drugim. Według opinii kilku sprawozdawców ostatnia Spartakiada zamieniła się niemal w olimpiadę matematyczną, bo regulamin tak był ułożony, że w niektórych wypadkach nie warto było zwyciężać. Zły regulamin — ale czy to powinno znaczyć, że jego luki trzeba koniecznie wykorzystać? Czy działacze i trenerzy, wykorzystując takie luki, nie działają antywychowawczo — aby nie powiedzieć, że demoralizują zawodników?

Takich i podobnych pytań można postawić wiele, niepokojąco wiele. Stawialiśmy je już w obu poprzednich artykułach. Dlaczego nie otrzymujemy odpowiedzi? Dlaczego nikt z osób, mających coś do powiedzenia w sporcie, nie zabiera głosu? Dlaczego przez dymną zasłonę wyników technicznych tak rzadko możemy zobaczyć w zawodniku człowieka — tak bardzo rzadko, że w końcu i zawodnicy widzą w sobie tylko maszyny do bicia, biegania lub skakania?

Jerzy Dostatni

Jeżeli był na świecie raj...

(Dokończenie ze str. 7)

Znakomicie wprowadza w starodawny obyczaj abchaski suchumskie muzeum krajoznawcze, zwłaszcza skansen w ogródku przed gmachem. Zobaczycie tu *acę* — spichrz na kukurydzę pleciony z gałęzi rododendrona, *auardyn* — wóz trójkątny zaprzęgany w parę bawołów, *ajucarę* — piwniczkę, w której zakopywano dzbany z winem, zobaczycie wreszcie okrągłą, plecioną chatynkę ze stożkowym dachem, z otwartym ogniskiem pośrodku, jest to *amchara* — domek dla nowożeńców.

Jeszcze jeden długi, nienasycony spacer po mieście. Zmierzch likwiduje mój ostatni dzień suchumski. Rozbłysły ognie na okręcie koło mola, bulwar pachnie morzem i kwiatami, w radiu męski głos śpiewał: „Jeżeli był na świecie raj..."

Maria Bechczyc-Rudnicka

KSIĄŻKI NADESŁANE

ISKRY

Jerzy Ambroziewicz — Piebanie na wulkanach — Nikt nie jest diabłem w Kamionce, Warszawa 1967;

Wybór reportaży z lat 1944—1964 — Wejście w kraj — w II tomach wybrał i opracował Zbigniew Stolarek, Warszawa 1967, wydanie II;

Księga dwudziestolatków 1965, opracował Stefan Bratkowski, układ graficzny Alina Kalczyńska, Warszawa 1967 r.

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Tadeusz Chudy — Dziewczyna polna, wiersze, Warszawa 1967;

Wilhelm Dichter, Jacek Kunicki — Wyspy fizyki — i inne opowiadania, Warszawa 1967 r.

PIW

Józef Czechowicz — Wybór wierszy, wyboru dokonał i wstępem poprzedził Tadeusz Różewicz, Warszawa 1967, wydanie I;

Włodzimierz Tiendriakow — Spotkanie z Nefretete, przełożyła Janina Dziarnowska, Warszawa 1967, wydanie I;

Ivo Michiels — Pożegnanie, przełożył Maciej Chełkowski, Warszawa 1967, wydanie I;

Branko Copić — Ósma ofensywa, przełożyła Maria Krukowska, Warszawa 1967, wydanie I;

Bogdan Rutha — W Hiszpanii o świcie, Warszawa 1967, wydanie I;

Ilia Zwierlew — Ona i On (z kroniki rodzinnej), przełożyła Henryka Broniatowska, Warszawa 1967, wydanie I;

Horst Holzhäuser — Ostatnia rezerwa, przekład Marii Wolczackiej, Warszawa 1967, wydanie I;

Andrzej Woźniesieński — Antyświaty, wybrał Anatol Stern, Warszawa 1967, wydanie I;

Witold Filler — Na lewym torze (teatr Witolda Wandurskiego), Warszawa 1967, wydanie I;

Zbiór poetów polskich XIX w. Biblioteka poezji i prozy, ułożył i opracował Paweł Hertz, Warszawa 1967, wydanie I;

Juliusz Słowacki — Kordian, Marian Bizan, Paweł Hertz — Głosy do „Kordiana", Warszawa 1967, wydanie I.

Z ZAGRANICY

Almanach das neunundsiebzieste Jahr S. Fischer Verlag, ausgegeben im September 1963;

Reinhard Baumgart — Literatur für Zeitgenossen Essays, Suhrkamp Verlag, Frankfurt am Main 1966;

Heinz Otto Burger, Reinhold Grimm — Evokation und Montage. Drei Beitrage zum Verstandnis Moderner Deutscher Lyrik, Sachse, Pohl Verlag, Gottingen — 1961.

przegląd PRASY

DWA wątki warto prześledzić w bieżącej prasie społeczno-kulturalnej, które co pewien czas powracają rytmicznie i regularnie na pole obserwacji publicystycznych, oba do pewnego stopnia sezonowe. I oba żelazne: turystyka i szkoła. Są jednak miejsca, kiedy oba wątki się subtelnie splatają. Oto **Ludwik Krasucki** zabawił się w **„TYGODNIKU DEMOKRATYCZNYM"** w socjologa wczasowego i przyniósł dzięki temu w artykule **„Tak długa nieobecność"** sporo interesujących informacji. A także końcową propozycję, że na wczasach przydałby się prawdziwy socjolog, który odpowiedziałby na wiele dosyć ważnych pytań. Zajmijmy się jednak obserwacją Krasuckiego, dotyczącą stanu kultury na wczasach:

„Z setki uczestników z trudem kleci się dwie drużyny siatkówki; ktoś, kto umie kierować łódką na łagodnej przybrzeżnej fali staje się bohaterem dnia, każda piesza wycieczka kończy się odparzeniami, a łatwa wspinaczka zatruwa większości uczestników urlop (...). Sądząc według wczasów, jesteśmy narodem karciarzy — zaś przeciętny poziom sportowy przedstawia się nader ubogo". To o kulturze fizycznej. A dalej:

„Mamy tyle ognisk, szkół, upowszechniających różne pożyteczne dyscypliny artystyczne, imponującą liczbę osób, które opanowały ponoć sztukę uczenia innych tańca, śpiewu, malowania. A na urlopie: czy spotykamy kogoś z instrumentem muzycznym, maniaka z kompletem farb, zręcznego „wodzireja", który potrafi przekształcić koszmar wieczorka tanecznego w przyjemne przeżycie. Gdzie jesteście w czasie urlopu — mistrzowie kultury, bohaterowie optymistycznych statystyk „upowszechniania"? Autor kieruje te uwagi pod adresem szkoły i instytucji kulturalnych. I słusznie. Adresatów znalazłoby się jednak więcej, ale to temat na inną okazję.

Ze sprawami turystyki koresponduje artykuł **Witolda Gawrona** z **„ŻYCIA LITERACKIEGO" „Dlaczego George przyjechał do Polski"**, poświęcony studenckiemu ruchowi turystycznemu, obsługującemu studentów zagranicznych. Choć liczby nie są tu wielkie, ale całą sprawą należy — zdaniem autora — traktować poważnie, bowiem *„studenci, jako ludzie młodzi, a więc ciekawi świata, żywi intelektualnie, dysponujący stosunkowo dużym ładunkiem wiedzy społecznej, są w stanie za nas i dla nas propagować w swoich krajach wiedzę o Polsce, o jej rzeczywistości społeczno-politycznej, wreszcie szerzyć i popularyzować wartości kulturalne".*

Dotychczasowa organizacja tej turystyki nie jest zachęcająca, a program wycieczek i pobytu studentów zagranicznych w naszym kraju nie zapewnia spodziewanych wyników. *„Jeśli bowiem student przyjeżdża z jakiegokolwiek bądź kraju, wiedziony ciekawością, chęcią wzbogacenia się o nowe doświadczenia, i wyjeżdża od nas wiedząc na nasz temat mniej więcej tyle samo, ile wiedział przed przyjazdem"* — to na pewno nie jest dobrze.

Opinie, jakie opublikowano przed paru tygodniami na temat tegorocznych egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie i przygotowania absolwentów szkół średnich, wzmogły temperaturę dyskusji na tematy szkolne. Łatwo szukać winnych i wygłaszać oskarżenia. Szkoły wyższe winią średnie, te — podstawowe. W jakich jednak te ostatnie pracują warunkach? Pisze o tym w sposób kompetentny **„GŁOS NAUCZYCIELSKI"** w artykułach o sytuacji mieszkaniowej nauczycieli: **Marii Rybarczyk „Nie wolno zmarnować tej szansy"** i **Danuty Chrzczonowicz „Na przykładzie jednego powiatu"**. Władze ZNP obliczają, że obecnie potrzeba nauczycielom 85 tys. izb. Znaczy to, że jedna czwarta nauczycieli nie posiada mieszkania w ogóle, lub zajmuje nieodpowiednie. Przy tym co roku nauczycieli przybywa, a z mieszkaniami jest nieco inaczej.

A równocześnie — jak pisze M. Rybarczyk — *„W wielu środowiskach... zbyt często zapomina się o tym, że powodzenie reformy szkolnej pozostaje w ścisłym związku z polityką mieszkaniową pracowników szkolnictwa. Dla realizacji trudnych założeń reformy niezbędni są wysoko kwalifikowani specjaliści, bez których nie może być mowy o jakimkolwiek postępie w szkolnictwie. A fachowcy, dobrzy fachowcy, nie przyjdą do mało atrakcyjnych środowisk, jeśli nie zapewni się im odpowiedniego locum".*

Mimo złej sytuacji istnieje wiele możliwości poprawy obecnego stanu rzeczy. Zależy to w dużej mierze od postawy rad narodowych, a przede wszystkim wykorzystania funduszy SFBSII. Zastanowić się trzeba uważnie nad słowami D. Chrzczonowicz: *„To się tak łatwo mówi: brak pieca, nieszczelne drzwi i okna, pękające i odpadające tynki, lejąca się po ścianach woda, dwa — trzy metry powierzchni na osobę. Ale ileż trzeba fantazji, by wyobrazić sobie wegetację w tych warunkach? Te nieprzespane z zimna noce, te odmrożone ręce i nogi, zapalenia płuc, dziesiątki wiader wody, przynoszonej z odległych studni. A w takich warunkach żyją i pracują".*

I to także jest przyczynek do dyskusji o reformie szkolnej i wynikach nauczania.

Na koniec warto zwrócić uwagę na dyskusję, jaką przeprowadziła redakcja **„KULTURY"** na temat **„Czasopisma — nauczyciel — szkoła"**. Zaproszeni nauczyciele mówili o poważnej roli czasopism społeczno-kulturalnych. Postulowali też wprowadzenie wielu zmian, dzięki którym pisma te lepiej służyłyby sprawom szkoły: były potrzebne i pomocne zarówno nauczycielowi, jak i uczniowi. Życzenia nauczycieli nie są sprzeczne z dotychczasowym charakterem pism, przeznaczonych dla całej inteligencji i nie tylko dla niej. Zwrócił na to w podsumowaniu uwagę przedstawiciel redakcji.

T. K.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Korespondencję prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131

Zam. 3600. 24.VIII.67 P-3.

Z ŻYCIA WZIĘTE

Pożądanie

ZAWSZE uważałem, że naszą prasę trzeba czytać gruntownie i uważnie, jeśli można — to od deski do deski. Jest to jedyny sposób zapewnienia sobie rozrywki, która ze względu na swój charakter może zaspokoić najbardziej wybredne gusta.

Tym razem zaczęło się od zwykłej wiadomości. Polska Agencja Prasowa doniosła z Paryża, że władze miejskie Saint—Tropez zakazały wystawienia sztuki Picassa pt. „DESIR". Postępek władz francuskich był oburzający. Jak poinformowała PAP, burmistrz Saint—Tropez wydał zakaz wystawienia tego utworu, powołując się na opinię straży pożarnej, która ze względu na bezpieczeństwo nie mogła pozwolić na spektakl w przeznaczonym na to lokalu. Oczywiście, każdy z nas zna te wybiegi administracji. Nie mogąc otwarcie wystąpić przeciw odważnej sztuce, woli posłużyć się byle pretekstem i nie dopuścić do jej wystawienia.

A więc i Picasso znalazł się na liście osób zagrażających francuskiemu porządkowi. Stary, sędziwy malarz, którego nikt już nie podejrzewał o takie światoburcze zamiary. Być może gdzie indziej sprawa poszłaby w zapomnienie, ale nie u nas, w Polsce, w kraju wyczulonym na każdą niesprawiedliwość. Z uczuciem ogromnej satysfakcji otwarłem niedawno stronicę „Życia Literackiego". Znakomity tłumacz Juliusz Kydryński (nie mylić z równie znakomitym — Lucjanem) przełożył sztukę Picassa na język polski, a tygodnik opublikował co celniejsze fragmenty. Zresztą „Życie Literackie" spełniło tu rolę niejako wtórną, pan Kydryński przetłumaczył sztukę na prośbę krakowskiego studenckiego „Teatru 38", który chce ją wystawić w najbliższym sezonie.

„Pożądanie złapane za ogon", bo tak nazywa się dzieło Picassa, tłumacz opatrzył dość obszerną notą. „Streszczenie „Pożądania"... jest właściwie niemożliwe — napisał. — To tak, jakby ktoś chciał, żeby mu opowiedzieć treść nieprzedstawiającego obrazu, bo sztuka ta — jak zresztą zauważył jeden z jej krytyków — jest właśnie jak gdyby transpozycją któregoś z „niezrozumiałych" dzieł mistrza, wywierającego jednak — poprzez swą formę — wpływ urzekający"...

Sztukę czyta się rzeczywiście trochę dziwnie. Już w akcie II jest wstrząsająca scena. Z pięciu pokoi hotelu wystają stopy i wykręcając się z bólu mówią:

„DWOJE STÓP Z POKOJU NR 3: Moje odmrożenia, moje odmrożenia, moje odmrożenia.

DWOJE STÓP Z POKOJU NR 3: Moje odmrożenia, moje odmrożenia, moje odmrożenia.

DWOJE STÓP Z POKOJU NR 1: Moje odmrożenia, moje odmrożenia, moje odmrożenia.

DWOJE STÓP Z POKOJU NR 4: Moje odmrożenia, moje odmrożenia, moje odmrożenia.

DWOJE STÓP Z POKOJU NR 5: Moje odmrożenia, moje odmrożenia, moje odmrożenia".

Takich wstrząsów jest więcej. Wszystkie jednak dystansuje fragment aktu III, w którym występują TARTINKA, KUZYNKA i dwie UDRĘKI.

„TARTINKA: Ajajajajajajaj...
KUZYNKA: Ajajajaj...
CHUDA UDRĘKA: Aaaaaaaaa...
(i tak to trwa przez dobry kwadrans).
WIELKA STOPA (sennie). Lodowe góry spływają wzdłuż kręgosłupa.
KUZYNKA: Oh, czyż on nie jest uroczy! Ajajaj.... Kto... aj... och! kto... ajajaj... jest... ajajajaj... baba...
TŁUSTA UDRĘKA: Aaabaaabaaba.
TARTINKA: Ajaj kocham go... Ajaj... kocham... baba... ajajaj... kocham go... ajaj ba ba ba ba.
(Spryskane krwią padają w omdleniu na podłogę)".

Być może, musielibyśmy się zadowolić tymi fragmentami i z niecierpliwością czekać na premierę „Teatru 38", gdyby nie kapitulacja władz francuskich. Okazało się, że bardziej postępowy od burmistrza Saint—Tropez był jego kolega z małej miejscowości Gassin. Sztuka została wystawiona. Dzięki temu mogliśmy się dowiedzieć, co kryją następne trzy akty, nie opublikowane przez „Życie Literackie".

„Jasnowłosa aktorka wbiega w piątym akcie na scenę goła jak ją Bóg stworzył — pisze recenzent zachodnioniemieckiego „Sterna". — Dzień dobry, dzień dobry. Zaraz urządzimy sobie orgię. Jestem naga i umieram z pragnienia. Zrób mi herbatę, ale przedtem pocałuj w usta, i tu, i tu, i tam, i wszędzie". Jej partner z teatru nagości zabiera się milcząco do wypełnienia tych precyzyjnych życzeń. Goła aktorka gra w „Pożądaniu" bardzo ważną i przejmującą rolę. „Przez dobre 5 minut — mówi Picasso w didaskaliach — główna aktorka powinna kucać przed budką suflera i zwrócona ku publiczności, załatwiać fizjologiczną potrzebę". Picasso zezwala na użycie wody z ukrytej buteleczki.

Reżyser francuskiego przedstawienia pozwolił sobie na małe odejście od zaleceń autora. Gdy gwiazda siadła na nocniku, pluszczące dźwięki dobiegły z taśmy magnetofonowej. Reszta szczegółów zgodna była całkowicie z tekstem.

Pan Juliusz Kydryński pisze we wstępie do polskiego tekstu sztuki, że „tych, którzy zawierzą wyobraźni artysty i świadomie poddadzą się jej grze, ta osobliwa sztuka potrafi szczerze zabawić. I nie tylko zabawić".

Teraz już nie wątpimy. Z niecierpliwością czekamy na premierę. Żeby tylko i nasza straż pożarna nie przypomniała sobie o swoich obowiązkach.

BAR

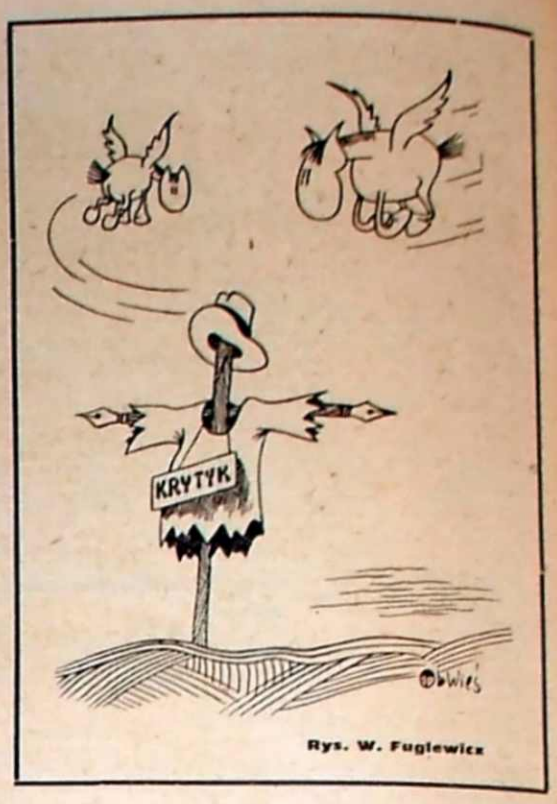

Rys. W. Fuglewicz

BIG-BEAT

S.O.S.

PANIE Redaktorze! Naprawdę się Pan nie bał? Przecież po tym felietonie pana BARa w poprzednim numerze „Kameny" („Humor i satyra") zasłużone w bojach „Szpilki" powinny na wylot pokłuć lubelski dwutygodnik. A może Pan ciągle wierzy w to, że redaktorzy „Szpilek" mają poczucie humoru? A może w to, że „Kamena" do nich nie dotrze? Proszę się nie martwić — znajdą się przyjaciele, którzy ów egzemplarz „Kameny" skwapliwie podrzucą na Plac Trzech Krzyży w Warszawie.. W ten sposób Pańskie, równie długowieczne jak „Szpilki", pismo powinno zyskać nowych, bardzo skrupulatnych czytelników...

Ale właściwie, co mnie to obchodzi? Mało człowiek ma własnych spraw na głowie? Kończy się laba, trzeba będzie znowu wrócić pod opiekuńcze skrzydła almy mater. Znów zaczną się kolokwia, egzaminy, słuchanie utyskiwań asystentów, pohukiwań czcigodnych profesorów. Łzy by się w oczach zakręciły, ale słońce nie pozwala. Wysusza.

Leżę więc sobie na sopockiej plaży, trochę burczy mi coś w żołądku. Cholernie oszczędzam. Mam jeszcze słówę, ale jakoś muszę dojechać do Lublina. Starego nie chcę już prosić o gotówkę, bo przysłał mi nie tak dawno 500 złotych, ale w try miga mi się rozeszły. Spotkałem kilku kumpli na festiwalu sopockim, nie można było stale siedzieć o suchym pysku. Co to zresztą znaczy brudas na tutejsze warunki? Człowiek łazi po mieście, spogląda na te różne mercedesy i czuję się jak parias. Pan Redaktor zna to uczucie? Na pewno nie, bo Pan woli na urlop pojechać do Dolnego Kłaja i strugać wielkiego redaktora. W Kłaju to można, ale niechby Pan spróbował ze swoją redaktorską pensją tutaj udawać magnata! Przez jeden wieczór w „Grandzie" sztuka by się udała, ale następnego dnia wołałby Pan SOS. Jak ta Gruzinka, co naśladowała Kalinę. Gruzinka miała jednak urodę i zawsze ktoś by jej rękę podał (chyba, że byłby się męża, który był na miejscu), a Pan co ma? Brzuszek, chociaż go nie dostrzegli redaktorzy „Panoramy Północy", którzy tak pięknie Pana opisali.

Że co, ględzę? Kisielowi wolno, chociaż trzy a może już nawet i cztery razy starszy ode mnie, a ja co? Po półtorarocznej gościnie w „Kamenie" można sobie poględzić. Zresztą nie ja jeden tak czynię. Ogórki na straganach, ogórki na łamach dzienników (poza doniesieniami PAP). Skąd my bierzemy w Polsce tyle tych ogórków, że wszystkich możemy obdzielić?

Widzę, jak Pan przeciera okulary i wygłasza do mnie mowę. Czyli popularnie — truje.

— Kiedyś, drogi Jacku — tak Pan truje — walczyłeś z red. Gnotem, red. Frülingiem, red. Lovellem, red. Lisem, red. Chabrosową, Kaziem Grześkowiakiem, a dzisiaj, co? W twoich felietonach króluje konformizm, urosłeś w piórka. Żadne katete, tylko zwykłe piepiepie! Jeśli się nie zmienisz, nie wyskubiesz tych piórek, przepędzimy cię z ostatniej strony!

No to co? Zacznę pisać na pierwszą. Myśli Pan Redaktor, że nie potrafię? Proszę posłuchać:

PROBLEM: MŁODZIEŻ

Problem młodzieżowy jest problemem poważnym. Wydaje się, że byłoby wskazane, aby nasze pismo szerzej w nim partycypowało. Rzecz polega na dogłębnym poznaniu zagadnienia i przedstawieniu go we właściwym świetle, w różnych aspektach naszego życia społecznego, gospodarczego, kulturalnego. Chowanie głowy w piasek było strusią polityką i nie przyniosłoby żadnych konkretnych rezultatów. A przecież na te rezultaty czeka nasze społeczeństwo, które zawsze wnikliwie obserwuje wszelkie przejawy...".

Dość! Dość! Kochany Panie Redaktorze! Proszę mnie nie wyrzucać z ostatniej strony! Kiedy takie bzdury czytam (gdzie, nie powiem) dostaję gęsiej skórki, ale kiedy taką drętwą mowę usiłuję naśladować wpadam w szał, gryzę, kopię, drapię i nadaję się tylko na wzorcowego pacjenta Tworek lub Abramowic.

Ponieważ leczenie w tych przybytkach odbywa się na koszt ludowego państwa, byłbym sabotażystą, wrogiem ustroju i w ogóle ostatnim draniem, gdybym narażał kochaną ojczyznę na nadprogramowe wydatki.

Chyba Pan Redaktor zgodzi się ze mną? Błagam więc o amnestię. SOS!

„Szpilki". Alma mater. Brudas. Klaj Dolny. Sopot. Kisiel. Ogórki. Problem: młodzież. Abramowice. Amnestia. SOS...

Panie Redaktorze! Jeśli Pan nie ma miejsca, niech Pan wydrukuje te ostatnie słowa. To krótkie streszczenie mego felietonu. Honorarium przeznaczę na kupno butelki wody sodowej. Spijemy się, jak... A, nie powiem, jak, choć ręka świerzbi. Jeszcze będzie proces!

Jacek

POSTE-RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste-Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste-Restante nie płacimy honorarium.

P. H. Sieńczak z Pałecznicy koło Lubartowa pisze: *„Trzeci wiersz mający tytuł „Pocałunek" proszę o zamieszczenie w Poste-Restante. Zawarta w nim myśl, jak i sam tytuł, ma znaczenie krótkotrwałego bytu. Bytu samego pocałunku. Pragnę pisać to, co przetrwa dłużej".* Szczerze tego Panu życzymy...

HENRYK SIEŃCZAK

POCAŁUNEK

Rozwarte usta
w strumieniu ciepłego oddechu
Plik niedomówionych słów
w zastygłym uśmiechu

Osaczeni:
palczastymi ostrogami w ciele
zamkniętą krzywizną ramiennych więcierzy

Smak opartych o siebie zwierzeń
rozhuśtał serca na karuzeli

Współpracownicy naszej rubryki bywają znakomicie „osłuchani" w kulturze antycznej, a także w poezji XVIII-wiecznego klasycyzmu. Oto utwór p. T. T. z Lublina pt.:

LECHICKIEJ NIKE

Córo Archermosa! Dziewo Samotracka!
Wieńczyłaś Hellenom zwycięstwa — goryesz:
Greczynko skrzydlata! Groźne twe oblicze
Gorąco dziś kocha ulica warszawska.

To plemię Lechitów, jego boska Łada
Ku Pallas, bogini, na Olimp się wspina,
Tam siły wspólnymi z rąk posągów Odyna
Miecz ostry wytrąca i tobie w dłoń wkłada.

A wdzięczny twój polot, wiatrem snutą stolę,
I zbroje Walkirii w głąb Walhalli strąca.
Lechistan z Helladą na wieki się zbratał.

Gałąź laurową z włosami posplatał:
I Nike z Syreną — nad Wisłą stojącą —
Głownią swego miecza chroni padłych wole.

FELIETON Z REZERWY

Zielony rybak

W WARSZAWSKIEJ „Desie" kupiłem komplet banknotów. Za jednego zielonego rybaka stałem się posiadaczem rubli carskich, przedwojennych i powojennych polskich złotówek i marek, które stanowiły środek płatniczy po rozgromieniu III Rzeszy.

Ruble carskie są dla mnie egzotycznymi papierkami, chociaż pamiętam słowa dziadka mego kolegi, który trzydzieści lat temu gromadził jeszcze te fikuśne banknoty. „Mogą się przydać — mówił — gładząc w ręku 100-rublówkę. — Czy wiesz, ile za to można było kupić? Oczywiście nie wiedziałem. Ale z pewnym nabożeństwem spoglądałem na dwugłowego orła jak choinka upstrzonego herbami i godłami.

Dziadka pochłonęła ziemia, wnuk może sobie pokój wytapetować tym „spadkiem", ewentualnie zanieść carskie ruble do punktu skupu makulatury lub też do „Desy", chociaż ona na pewno nie narzeka na braki w tej właśnie dziedzinie.

O ile wspomniane ruble są dla mnie niemal prehistorią, o tyle zupełnie inaczej patrzę na przedwojenne złotówki. Przed 1939 r. nigdy nie miałem w ręku 20-złotówki. Szczytem marzeń była 10-złotowa moneta, którą raz w ciągu roku wręczał mi uroczyście mój chrzestny. Szybko udawałem się na pocztę, urzędniczka dopisywała w książeczce PKO kolejną wpłatę. Do Września zebrałem 50 złotych.

Złotówki Banku Emisyjnego w Polsce — to waluta okupacyjna. I moja pierwsza życiowa pensja. Bodaj 152 złote pobierałem miesięcznie pracując jako goniec — aby się uchronić przed wywózką do Niemiec — w Polskim Komitecie Opiekuńczym. W tym czasie kilogram słoniny kosztował na czarnym rynku 40—50 złotych. 152 złote nie były więc sumą astronomiczną i nie mogły mnie rozpieścić.

I wreszcie pierwsze banknoty z 1944 roku, Różowa stuzłotówka z nadrukiem Narodowy Bank Polski. Prawdziwy zbieracz powinien pamiętać o dwóch wersjach. Na jednym banknocie napis głosi: „Przyjmowanie we wszystkich wpłatach jest obowiązkowe". Na drugim: „Przyjmowanie we wszystkich wpłatach jest obowiązkowym". Językowy błąd na banknocie to swoiste curiosum.

W tym czasie egzemplarz gazety kosztował 5 złotych, później cenę podniesiono do złotych 15. A jak wówczas kształtowały się zarobki?

Pamiętam rok 1948. Wówczas rozpocząłem pracę w lubelskim „Sztandarze Ludu" w charakterze — tak to się nazywało — aplikanta. Pierwszy zarobek: 8 tysięcy złotych. Wystarczało na skromne życie. Obiad popularny kosztował 75 złotych, a klubowy — 150 zł. Aby się jednak solidnie najeść, trzeba było wybierać z karty. Wydać 300—400 złotych na jeden posiłek to znaczyło kompletną rujnację. Kiedy jednak dotarły uboczne dochody za korespondencję w „Ekspresie Wieczornym" czy „Wolności", za humoreski w „Kocyndrze" życie stało się całkiem znośne, od czasu do czasu można było coś zafundować koleżankom i kolegom ze studiów, którzy pozostawali jedynie na łasce rodziny. Szło się więc do „Ludowej" na ulicy Wieniawskiej, tam była najlepsza kuchnia. W „Ludowej" poznałem p. Stanisława, który teraz pracuje w „Europie". „Panie redaktorze — wspomina — pamięta pan te zupy pomidorowe? Albo te piękne golonki?" Jakże zapomnieć?

A oto banknot 1000-złotowy. Na jednej stronie sylwetka górnika i robociarza z młotem. Na drugiej — dymiące fabryki. Przed wymianą brało się już 50 takich papierków w każdym miesiącu...

Współczesnych banknotów, tych, które aktualnie są w obiegu, jeszcze w „Desie" nie kupiłem. Może kiedyś nabędzie je mój prawnuk. Jakie nasuną mu się skojarzenia? Nie wiem, ale na pewno pomyśli, że w powojennych latach Polska Ludowa cierpiała na brak zdolnych grafików. Gdy jednak spojrzy na banknot 1000-złotowy z Kopernikiem, przekona się, że i ten brak udało się nam usunąć.

Mnie w każdym razie wszystko jedno, czy mam w portfelu dwóch brzydkich brązowych górników czy jednego tęczowego „kopernika". Dziś ucieszyłby mnie nawet zielony rybak lub niebieska dojarka. Ale ostatniego zielonego rybaka zamieniłem na stare banknoty. Złowił mi temat do felietonu z rezerwy...

MAJ

Odpowiedzi redakcji

J. K. w Olsztynie. Przysłała nam Pani trzy opowiadania(?) z prośbą o umieszczenie „coś niecoś" w „Kamenie". „Usprawiedliwia mnie to — czytamy w Pani liście — że (jak słyszałam) Wasza Redakcja jest dobrze ustosunkowana do tych, którzy mają niewielki dorobek drukiem i spoza zasięgu woj. lubelskiego". Nasza redakcja jest dobrze ustosunkowana do wszystkich, którzy mają choć iskrę talentu. Wierzymy, że ma Pani „niewielki dorobek drukiem", ale te utwory, które Pani nadesłała, zostały zapewne odrzucone przez inne redakcje. Nieładnie nas tak oszukiwać!

J. K. w Chełmie. Uprawia Pani dwa rodzaje „twórczości": satyryczną i „rwącą za serce". Pierwsza nie zawiera jednak ani humoru ani czegoś, co by już nie było kiedyś pomyślane i napisane przez trzeciorzędnych satyryków. Druga — przypomina młodopolskie sztambuchy naszych prababek („Kim jestem") albo penajonarskie pamiętniki („Chwilę uniesień kołysze wiatr płynie cisza melodią słów zamglone marzenia struna napięta sama gra szmery nadziei i bzu najczulsze westchnienia już świt brzasku nadszedł wschód w porannej mgle jeden krzyk w kielichu miód kocham cię). Wydaje nam się, że dalej próbować nie warto. Pani utwory to płody „wieku przejściowego". Studia humanistyczne, na które się Pani dostała, powinny dostarczyć wielu emocji poetyckich jeśli idzie o lekturę innych pisarzy. Być może, że patrzymy zbyt pesymistycznie. Cieszylibyśmy, gdyby tak było... Pozdrawiamy.

S. K. w Olsztynie. Nośność poznawcza, zawartość emocji ludzkiej są w tych wierszach tak znikome, że trudno tu w ogóle mówić o tym, co Pan chciał n o w e g o przedstawić na temat świata i siebie. Nie warto więc nawet wspominać o banalizacji języka „pocyzkiego": te zbitki dziś już nie znaczą nic, albo tyle, co „noga stołowa", która kiedyś też była metaforą. „Brzemię (twych) przodków", „znaki życia", „ostatnie tchnienie", „niezmącona cisza", „powietrza oddech" itd., itd... A fe! W którym wieku Pan żyje?

W. T. w Hajnówce. Za miłe słowa dziękujemy, niestety, trudno nam się zrewanżować po lekturze Pana utworów. Pływa Pan spokojnie po wodach uniwersalnego banału do potęgi trzeciej. Możemy tylko radzić uważne przestudiowanie poezji polskiej od czasów „Bogurodzicy" po dzień dzisiejszy.

„Czytelnik z Lublina". Przede wszystkim: dlaczego anonim? Pan ma bardzo błędne wyobrażenie o pracy redakcyjnej. Wbrew temu, co Pan sądzi — a o tym mówi chociażby lektura różnych dzienników — depeszowiec ma duże pole do popisu, bo z codziennego serwisu PAP można zrobić nie dwie, ale i sześć kolumn, stąd konieczność starannej selekcji. Uwagi na temat „Kuriera Lubelskiego" może Pan bezpośrednio skierować na ręce red. L. Gnota. W każdym bądź razie nikt Pana nie zmusza do czytania tego dziennika. Dziękujemy za życzenia rozwoju „Kameny". Zawsze jesteśmy wdzięczni czytelnikom za uwagi na temat materiałów zamieszczanych w naszym piśmie, nawet jeśli nie zgadzamy się w całości lub w szczegółach. A nazwiska autorów listów do redakcji mogą — wg życzenia — pozostać tylko do naszej wiadomości.

NOTY I notki

„CHYBA TO PO LATACH 40 — kiedy w 1928 r. ukazał się słynny „Laur olimpijski" — pierwsza tego rodzaju pozycja w naszej współczesnej literaturze" — pisze niefrasobliwie anonimowy recenzent w nr 33 krakowskiego „Tempa" o książce J. Prutkowskiego „Na miejsca, gotowi"... Nie uwłaczając poezji Prutkowskiego pozwalamy sobie zauważyć, że tylko w jednym 1948 r. ukazały się „Ody olimpijskie" niejakiego Jarosława Iwaszkiewicza oraz „Rzut oszczepem" niejakiego Romana Sadowskiego.

W ZAKOPANEM UKAZAŁ SIĘ, pięknie zresztą drukowany, folder o pewnym zespole regionalnym. Wskutek przestawienia wierszy turyści krajowi i zagraniczni (całe szczęście tylko znający język polski) mogą przeczytać taką pieprzystojną rzecz: „Chłopiec jo se chłopiec, na głowie czupryna, ale mi się trzęsie malucko chłopina".

BRONISŁAW ZAPAŁA WYDRUKOWAŁ w kieleckim „Magazynie" opowiadanie o pewnej dziewczynie, która omal nie dała się uwieść. Aby to się nie stało, autor modlił się w pociągu osobowym. W czasie tej modlitwy pociąg przejechał prawie siedemdziesiąt kilometrów. Dwie godziny modłów dla ocalenia jednej cnoty gwarantuje autorowi co najmniej dyplom uznania w Dolinie Józefata!

DO JEDNEJ Z ZAPRZYJAŹNIONYCH z nami instytucji nadszedł list od przebywającego na urlopie pracownika. W dwóch pierwszych zdaniach donosi, że boleśnie skręcił sobie nogę w stawie skokowym i poparł to sześciodniowym zwolnieniem lekarskim. A zaraz po tym w liście: „Ale kończę, bo Kubuś gwałtownie domaga się, abym mu towarzyszył na dłuższym spacerze". A w tej instytucji nie chcą wierzyć, że to tylko u nich możliwe.

REDAKTOR NACZELNY rozgłośni lubelskiej PR nazywa się Michał Skalenajdo. Pytaliśmy właściciela, czy jego nazwisko odmienia się. Oczywiście potwierdził. Nie zmienia to jednak faktu, że w głośnikach słyszymy niezmiennie, jak spikerka lubelska zapowiada: „Nadajemy artykuł redaktora Michała Skalenajdo".

W PRZEDWOJENNYM WOJSKU rekrut, pytający, „czym to robić", rzekomo „otrzymywał od sierżanta nieodmiennie jędrną odpowiedź, wskazującą odpowiedni szczegół anatomiczny" — pisze Halina Piekarska w nr 18 „Prawa i Życia". A skąd to Pani wie? I o jaki „szczegół" chodzi?

JAK DOBRZE PÓJDZIE to wkrótce w lokalach kategorii „S" orkiestry taneczne o północy będą przerywały program, aby mógł wystąpić prokurator z prelekcją, ile lat grozi za defraudację, łapówkę czy pomaganie w nierządzie. Na razie zaczęło się w Sopocie, gdzie w nastołatkowym „Non-Stop" systematycznie przerywa się zabawę, aby prokurator mógł uświadamiać (tych, którzy nie uciekną) o przestępczości nieletnich i karach, jakie im grożą za różne rzeczy.

KIELECKA LIGA KOBIET ogłosiła, że organizuje kurs gospodarstwa domowego dla dziewcząt, który obejmuje „język polski, matematykę"... No to może wreszcie będą ozorki po polsku, a nie rozbef po angielsku?

„CZYTELNICY ZAUWAŻYLI NA PEWNO, że felietony niniejsze stały się ostatnio kiepskie, mdłe, krótkawe i traktujące o niczym" — wyznaje samokrytycznie Kisiel w nr 34 „Tygodnika Powszechnego", dodając w następnej szpalcie: „Słowem w rezultacie upadek i klapa". Święta prawda, Kisielu, święta prawda.

W NASTĘPNYM NUMERZE:
Pamiętnik osiemnastolatki
i inne materiały o młodzieży